

# BLUSZCZ

*Spółecano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec*

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 2 LUTEGO 1929 ROKU

NR. 5

TREŚĆ NUMERU: Trzeba przemówić—*J. Jezierska*. Bilans — *Dr. Marja Kuźmńska*. O sądownictwie dla nieletnich — *L. Ron*. Poezje: „Naksztalt Heinego“, „Za chwilę“, „Obrachunek“ — *Kazimiera Włkowiczówna*. Tylko jedno oczy patrzają poprzez serce — *Adam Fag*. Skłamanie szczęście (c. d.) — *M. H. Szpyrkówna*. Tajemnice imionników — *Stefanja Podhorska Okołów*. Z życia ekranu — *Stef. H.* Z teatrów — *Z. M.* Z książek — *J. P. O.* Książki nadesłane do Redakcji. Kobieta w świecie i w domu — *N. J.* Przeszło czterdzieści lat zbożnej pracy — *Pani Elżbieta*. Musimy znać nasze prawa — *M. R.* Technika — *Wanda Młodożeńcowa*. Wyplatajmy nasze krzesła same — *A. D.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Pomyślmy o wiosnie — *Well*. Arkusz wzorów.

## TRZEBA PRZEMÓWIĆ

Od dłuższego już czasu śledzę pilnie dyskusję, jaka toczy się w pismach warszawskich w sprawie wynalezienia najlepszego sposobu reformy postępowania honorowego i usunięcia pojedyneków.

Od czasu do czasu poświęca się trochę uwagi i zagadnieniu, czy kobieta powinna być odpowiedzialną honorowo. Naprawdę jednak tylko „Bluszcz“ wypowiedział się w tej kwestji jasno i w sensie twierdzącym. Chciałabym pomówić o tem i zapytać o zdanie innych czytelniczek. Trochę nawet się dziwię, że po artykułach p. Dr. Świtalskiej, pp. Naglerowej i Jastrzębskiej—nie odezwała się żadna z kobiet.

Przecież o sprawie tak ważnej pomówić trzeba obszernie i wyczerpująco! Jakże? Zawiazuje się Liga, która na pierwszym planie stawia zasadę, że kobieta jest człowiekiem, odpowiedzialnym honorowo, a ogół kobiet nie wypowiada się głośno, publicznie!

Inicjatywę Ligi zawdzięczamy kobietom—członkiniom Tow. Rodziny Wojskowej.

Wiemy, że zawsze działać zaczynają jednostki wybrane pod względem umysłowości i zdolności czynu i organizacji; ale te jednostki zasługują jednak przecie na oddźwięk wśród ogółu! Dlaczego milczy masa? Dlaczego nie zabierają głosu kobiety, tak liczne, pracujące zawodowo i społecznie, a nawet i te, które są tylko żonami i matkami? Czyżby ich to nic nie obchodziło?

Przecież poczucie odpowiedzialności za swoje słowa i czyny wobec jednego z najszlachetniejszych pojęć ludzkich — honoru,—to rzecz wielkiej wagi dla

każdego człowieka i dla jego całego ustosunkowania się do otoczenia!

Osobiście myślę, że dziś żadna kobieta nie może protestować przeciw zasadzie, iż jest odpowiedzialną honorowo, i nie wolno jej okrywać swego postępowania odpowiedzialnością mężczyzny.

Chodzi mi o co innego. O to, jak lichy jesteśmy do tej odpowiedzialności przygotowani.

Zastrzegam odrazu: nie wolno wyprowadzać z tego wniosku przeciwko pełni naszych „praw człowieka“. Musimy iść w myśl wielkiej zasady Kollataja, że ludzie w prawach rosną, a nie do praw dorastają. Ale właśnie dlatego, aby rosnać i dorość, trzeba zdać sobie sprawę z własnych braków. Wtedy tylko można je będzie usunąć.

Jednym z najważniejszych jest nasz... zły język... Nie miejcie mi za złe tej prawdy, bo to jest przecie prawda, którą trzeba odsłonić: — kobiety najwięcej broją językiem.

Jest to sobie, na zmianę, raz gadatliwość bezsensowna, drugi raz uszczypliwość, docinki, a najwięcej zamięłowanie do plotkarstwa, obgadywania, krytykowania zjadliwego na prawo i lewo. Ktoś powie, że to nic nowego — cóż robić! niemniej fakt istnieje, ktoś drugi wystąpi z zarzutem, że to było dawniej; że współczesna kobieta jest już inna. Bodajby tak był! ale naogół jest inaczej, niestety. Naturalnie, że im więcej mamy nauki i kultury, im więcej oddajemy się wyteżonej pracy zawodowej i społecznej, tem mniej zostaje nam czasu i ochoty do zajmowania się



cudze sprawy, obgadywania i plotek; niemniej jednak do ideału nam daleko.

Zajrzyjmy, co się dzieje w biurach, gdzie pracuje większa ilość kobiet, w środowiskach towarzyskich mniejszych miast, w kołach, skupiających ludzi pewnych zawodów, nie wyłączając wojskowego, w stowarzyszeniach. Ileż uraz, kwasów, nieporozumień, a nie rzadko i dramatów, wywołuje tam zły, lub „zadługi“ język kobiety!

Powiedzieć znów ktoś może, iż niechęci, spory i bardzo nieraz gwałtowne zajścia zdarzają się i między mężczyznami, bez żadnego udziału kobiet; — zapewne, ale podłoże tych spraw jest inne, może nieraz gorsze, ale zawsze głębsze, bardziej realne i nie tak przypadkowe. Mężczyźni ścierają się, czy to wskutek rywalizacji w miłości, czy z powodu jakichś różnic przekonaniowych, czy wreszcie emulacji i walk o karierę, znaczenie, sławę. Kobieta potrafi wyrazić się jaknajgorzej o drugiej kobiecie nawet gdy jej nie zna, gdy ją ta osoba, podług wszelkich praw logiki, nic nie powinna obchodzić. Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe. Fakt taki zdarzył się niedawno w jednym z miast prowincjonalnych i stał się powodem pojedynku pomiędzy mężczyznami obu pań. Ta „długozyczna“ wyraziła się ubliżająco o kobiecie, której nigdy nie widziała! Pokażcie mi mężczyznę, który bez żadnego powodu, ot, tak sobie, dla zadowolenia własnej złośliwości czy gadulstwa, powie o nieznanym sobie człowieku:—to jest niechluj, wygląda jak pajac, rujnuje swoją żonę... itp...

Możliwe?

Drugą fatalną wadą kobiecą jest nieobliczalność i wybuchowość w postępowaniu, kierowana często zwykłym kaprysem, a już w najlepszym razie „afektem“, nie uznającym racjonalnego i bezstronnego ocenia sprawy. Kobieta może zrobić afront komuś, do którego czuje niczem nieuzasadnioną niechęć, o którym słyszała coś złego, lub gdy dany osobnik poróżnił się z jej przyjaciółką.

Mężczyzna będzie występował jawnie i osobiście przeciw jakiemuś przeciwnikowi swojemu,—kobieta da się zawsze z serdecznych pobudek przyjaźni, a czasem bez żadnych racjonalnych powodów, wciągnąć do jakiejś, przeciwko komuś, podjazdowej akcji cudzej, w której wyczynia najrozmaitsze dziwy, a płacą za nie zwykle nie mający o niczem pojęcia postronni ludzie.

I jeszcze jedno: zapytana platonicznie o zasadę własnej odpowiedzialności honorowej, napewno każda z nas odpowie, że zasada ta jest dla niej słuszna, ale

ilekroć ktoś ją urazi, albo jej się to nawet tylko zdaje—o, wtedy, sprawa jakże inaczej się przedstawia! — Gdybym tylko powiedziała to memu mężowi! — brzmi pogrożka. I to w najlepszym razie, gdy pewne poczucie ambicji, sprawiedliwości, a także obawa przed zawiłaniem tego męża w przykrą sprawę—zamykają usta. A ile razy pod wpływem obrażonej miłości własnej, niezdolności zachowania tajemnicy i gadulstwa ustępują wszystkie względy, i ów mąż, brat, czy narzeczony dowiaduje się, że on musi interwenjować

Wszystko to są bezsprzeczne minusy na rachunku naszej odpowiedzialności honorowej. Wynikają one naturalnie z tego, że dotychczas tej odpowiedzialności nam nie przyznawano; niemniej jednak są, i będziemy musiały bardzo poważnie pracować, zanim wykreślimy je z naszej psychiki. Pracę tę jednak podjąć jest naszym wielkim obowiązkiem i to nie tylko w interesie własnym. Słusznie bowiem twierdzi p. Jastrzębska w artykule swym „O bliższe porozumienie“ (w Nr. 3 „Bluszczu“), że „kobiety, gdziekolwiek występowały w obronie swoich praw, stawiały jednocześnie wysokie hasła humanitarne“.

Tak było istotnie i tak jest i w tym wypadku.

Ponieważ kobieta, ze względów zarówno humanitarnych, jak i właściwości swojej płci, nie może uznać, jako formy satysfakcji honorowej, pojedynku, więc z chwilą wprowadzenia równouprawnienia honorowego musi zostać przyjęta jakaś inna forma zadośćuczynienia, usuwająca pojedynki. Tym sposobem, raz jeszcze, uznanie pełni praw człowieka w kobiecie przyniesie korzyść ogółowi.

Aby jednak ta sprawa stała na istotnie poważnym gruncie, trzeba o niej poważnie myśleć, a przede wszystkim trzeba, aby kobiety wypowiedziały swoje o niej zdanie. Dla zachęcenia do tej dyskusji w „Mównicy“, rzucam kilka sprecyzowanych pytań:

1). Czy należy dążyć do reformy postępowania honorowego, w myśl uznania kobiety, jako honorowo odpowiedzialnej?

2). Czy, w razie uznania pełni praw honorowych kobiety, mogą od tej zasady istnieć wyjątki i jakie?

3). Jaka forma udzielenia i uzyskania satysfakcji honorowej byłaby najodpowiedniejsza dla kobiety?

4). Czy i jak należałoby rozciągnąć tę formę na ogólną metodę postępowania honorowego, dla zniesienia obyczaju pojedynków?

5). Jak popierać idee i prace Ligi Reformy Postępowania Honorowego, świeżo obecnie zawiązanej?

J. Jezierska





DR. MARJA KUŹMIŃSKA

## B I L A N S

Gdy pionierki ruchu kobiecego, po uzyskaniu doktoratów na uniwersytetach zagranicznych, wracały do kraju i przystępowały do pracy, otoczyło je niedowierzanie, niechęć; wątpiono w ich siły, krytykowano organizację umysłową kobiety, którą uważano za niezdolną do pracy naukowej.

Od tego czasu upłynęło kilka dziesiątków lat. I oto widzimy dziwne zjawisko społeczne: z zawrotną szybkością następuje emancypacja kobiety; w ciągu niespełna lat pięćdziesięciu zdobywają kobiety prawo zajmowania wszystkich stanowisk. Siła twórcza, tkwiąca w ich umyśle, niewyzyskana energia duchowa—zerwała tamy, dotychczas ją krępujące.

Kto głęboko wnika w zjawiska społeczne, z zadziwieniem śledzi proces, którego stawanie odbywa się w terażniejszości.

Jak daleko odeszliśmy od zarzutów, stawianych przez przeciwników ruchu kobiecego! A jednak to, co było najbardziej rzeczywistem: obawa przed współzawodnictwem—zresztą słuszna i wpływająca ze zrozumienia głębokiego problemu społecznego—każe i dzisiaj, choć może nie tak jawnie, występować z krytyką pracy kobiecej. Często powstrzymuje obawa przed zarzutem wstecznictwa. Prawda, że coraz mniej jest przeciwników, gdyż trudno walczyć z faktami, które mówią o pracy kobiecej jaknajlepiej.

A jednak od pewnego czasu spotykamy się coraz częściej z zarzutami, że zbyt ni napływ kobiet do uniwersytetu jest objawem nienormalnym. Operuje się gołosłownymi zarzutami, że kobieta szuka w wyższej uczelni nie nauki, ale życia koleżeńkiego, rozrywki, uwolnienia się od nudnych zajęć domowych, miłego spędzenia czasu.

Czem można takie zarzuty odeprzeć?

Według mnie — tylko cyframi.

I oto przychodzi nam w pomoc sprawozdanie z działalności Wydziału humanistycznego Uniwersytetu Warszawskiego za r. 1927-28.

Jaka szkoda, że nie posiadamy takich sprawozdań więcej i z lat poprzednich, wszystkich Wyższych Uczelni! Szkoda, że i to sprawozdanie niezawsze podaje dane tak, iż można wyciągnąć wnioski, nam potrzebne; ale i to, czego się dowiadujemy ze sprawozdania, te niezmiernie wvmowne liczby,—niech nam posłużą, jako materiał dla zorientowania się w pracy kobiet na Uniwersytecie Warszawskim.

Wydział humanistyczny od dn. 1 września 1927 r. jest samodzielną jednostką; przedtem, wraz z obecnym Wydziałem matematyczno-przyrodniczym, tworzył Wydział filozoficzny.

Sprawozdanie za r. 1927-28 przynosi ciekawy materiał dla naszej kwestji, który może się przyczynić do

rozwiązania problemu odrębnych programów i organizacji szkół średnich dla chłopców i dla dziewcząt.

Zagadnienie to, dzisiaj bardzo aktualne, musi być przemyślane poważnie, a przede wszystkim — bezstronnie.

Przyjrzyjmy się, co mówią nam liczby. Między profesorami Wydziału humanistycznego Uniwersytetu Warszawskiego nie znajdujemy dotychczas ani jednej kobiety. Niema ich jeszcze między docentami, ale wśród osób 14-tu, prowadzących wykłady zlecone, widzimy kobiet 5. Na 14 lektorów wymieniono 5 kobiet (z tych dwie prowadzą jednocześnie zlecone wykłady).

Przejdźmy teraz do słuchaczy.

W roku 1927-28 promocyj doktorskich odbyło się 36 — w tem 17 kobiet otrzymało doktoraty (a zatem bezmała połowa).

W toku, t. j. po złożeniu prac doktorskich, jest osób 60 — w tem 36 kobiet.

A zatem praca kobiet na Uniwersytecie osiąga wybitne rezultaty.

Doktorskich prac, a więc naukowych, opartych na źródłach, wyszło z pod pióra kobiecego w ostatnich latach 53.

Liczba uczniów na Wydziale humanistycznym w r. 1927-28 wynosiła 3426, w tem mężczyzn 1258, tj. 37%, kobiet 2168, tj. 63%.

Przejdźmy teraz do poszczególnych seminarjów i zakładów naukowych, przy których, trzeba zaznaczyć, pracuje asyistentek 9, asyistentów 8 — aby zdać sobie sprawę, jaką pracą mogą wykazać się kobiety, studjujące nauki humanistyczne.

Niezawsze da się to stwierdzić, ale zadowolimy się i tą cząstką, którą sprawozdanie nam podało.

W seminarjum filozoficznym prac magisterskich, napisanych przez:

	mężczyzn 4	kobiety —
W zakładzie psychologicznym:		
	m.	k.
Prac doktorskich . . . . .	—	1
„ magisterskich . . . . .	—	1
odczytano prac dyplomowych (prócz powyższych) . . . . .	—	2
referatów . . . . .	7	5
W seminarjum hist. polskiej średniowiecznej:		
	m.	k.
referatów . . . . .	9	3
W seminarjum hist. powszechnej:		
	m.	k.
prac doktorskich . . . . .	2	1
„ magisterskich . . . . .	—	1
nadto praca . . . . .	1	—



	m.	k.
sprawozdań ze stanu poszukiwań . . . . .	2	3

W seminarjum hist. Europy Wschodniej:

	m.	k.
prac doktorskich . . . . .	3	2
„ magisterskich . . . . .	—	3
„ nauczycielskich . . . . .	1	1
„ seminaryjnych . . . . .	4	4
sprawozdań . . . . .	3	7

Ćwiczenia z hist. gospodarczej:

	m.	k.
prac magisterskich . . . . .	3	2

Ćwiczenia z hist. porobiorowej Polski:

	m.	k.
prac magisterskich . . . . .	2	2
„ seminaryjnych . . . . .	3	3

W seminarjum filologii klasycznej uzyskało stopień doktora filozofji osób 5: mężczyzn 1, kobiet 4.

	m.	k.
prac doktorskich . . . . .	2	3
(w tem dwie uzyskały już doktoraty wliczone powyżej).		
prac seminaryjnych . . . . .	8	7

W seminarjum polonistycznym: oddz. B.	m.	k.
prac seminaryjnych . . . . .	5	26

W seminarjum filologii germańskiej:

	m.	k.
prac doktorskich . . . . .	3	1
„ seminaryjnych . . . . .	20	39

Prócz tego cały szereg poważnych prac naukowych było drukowanych.

Tylko te liczby mogą być odpowiedzią na wszelkie zarzuty. Są one tak przekonywujące, że obalą najgłębsze wątpliwości przeciwników studjów uniwersyteckich — kobiet.

I dlatego poważnie należy się zastanowić, czy szkołę żeńską poddawać zasadniczym reformom, a jeśli tak, to jakie one być winny, by nie przynieść kobietom szkody, nie powstrzymać ich w zdobywczym pochodzie ku wiedzy, na drodze, której cele istnieją w przyszłości, dla celów chwili dzisiejszej, dnia powszedniego.

Czas, który spędzają kobiety w przepełnionych salach wykładowych, w lokalach seminaryjnych i bibliotekach — upływa nienadaremnie.

Wychodzi nowy zastęp kobiet, przygotowanych do pracy intelektualnej: są to współtwórczynie kultury narodowej.



L. RON

## O SĄDOWNICTWIE DLA NIELETNICH

*Dotychczasowe przepisy. Projekt nowego ustawodawstwa. Oddziały dla nieletnich.*

*Koła Opiekunów sądowych. Działalność Poradni Pedagogicznej.*

Moralne wychowanie i poprawa nieletnich, których czyny kolidowały z kodeksem karnym, jest bezwątpienia w chwili obecnej jedną z najpoważniejszych trosk współczesnej polityki kryminalnej. Zapoczątkowany w końcu ubiegłego stulecia ruch, skierowany ku sprowadzeniu walki z przestępczością nieletnich na właściwe tory, dał w bieżącym stuleciu poważne wyniki. W wielu państwach ukazują się nowe ustawy lub projekty w tej dziedzinie, w innych zaś — w granicach ustaw obowiązujących, wprowadza się zgodne z nowoczesnymi poglądami reformy praktyczne, gdyż ogół zrozumiał, że nieletniego przestępcę należy traktować zupełnie inaczej, niż dorosłego: często bowiem kary, celowe wobec dorosłych, są zgubne dla młodocianych.

W Polsce sądy dla nieletnich zostały wprowadzone dekretem Naczelnika Państwa z dn. 7 lutego 1919 roku. W Warszawie, Lublinie i Łodzi z dniem

1-go września 1919 roku powołano do życia sądy, których zadaniem było rozpatrywanie spraw przeciwko nieletnim do lat 17, wchodzące w zakres sądów pokoju. W myśl wspomnianych postanowień, sędzia, przy postępowaniu karnem przeciwko nieletnim, powinien stale pamiętać o stronie wychowawczej i dążyć do skierowania nieletniego na drogę poprawy, usuwając go od szkodliwych wpływów otoczenia. Sposób prowadzenia spraw powinien być jaknajprostsz: należy unikać wszelkiej ostentacji. Rozprawa winna się toczyć przy drzwiach zamkniętych. Zaleca się, w myśl cytowanych przepisów, najszerze stosowanie zawieszenia wykonania kary oraz umieszczanie nieletnich, w miarę potrzeby, oczywiście, w zakładach wychowawczo - poprawczych. Lecz wymienione przepisy nie wyczerpują jeszcze sprawy całkowicie; ma to uczynić dopiero ustawa, której projekt został uchwalony na



posiedzeniu Komisji Kodyfikacyjnej; projekt ten znajduje się obecnie w sejmie. Dzieli on nieletnich na dwie kategorie. Pierwsza z nich obejmuje: a) nieletnich do lat 13; b) nieletnich od lat 13 do 17, działających bez rozeznania; c) nieletnich do lat 17, oddających się nierządowi, włóczęgostwu lub żebraniom, wreszcie d) nieletnich do lat 17, którzy się wogóle źle prowadzą, o ile rodzice ich zwracają się o pomoc w wychowaniu (art. 1). Druga grupa obejmuje nieletnich w wieku od lat 13 do 17, którzy popełnili czyn karalny z rozeznaniem (art. 3).

Dla nieletnich pierwszej grupy mają być stosowane następujące środki wychowawcze: a) upomnienie; b) oddanie rodzicom lub dotychczasowym opiekunom pod opiekę odpowiedzialną; c) powierzenie osobie lub instytucji, godnej zaufania; wreszcie d) umieszczenie w odpowiednim zakładzie państwowym lub prywatnym (art. 1 i 10). Sąd zawsze mocen jest zastosować środek odwołać, lub zamienić na inny środek wychowawczy. Środki wychowawcze i opieka ustają automatycznie, z chwilą osiągnięcia przez nieletniego pełnoletności. Jako środki poprawcze, projekt przewiduje jedynie umieszczenie nieletniego w zakładzie poprawczym. Zasluguje tu na uwagę bardzo humanitarne traktowanie młodocianego przestępcy, który, w wypadku widocznej poprawy, stwierdzonej przez zarząd zakładu, może zostać uwolniony przed terminem. Z chwilą zaś ostatecznego uwolnienia wychowanka, wyrok uważa się za niebyły. W zakładach wychowawczo-poprawczych zwraca się wielką uwagę zarówno na rozwój moralno-umysłowy (nieletni podlegają przymusowemu nauczaniu w zakresie państwowej szkoły powszechnej), jak i fizyczny. Wychowankom wpaja się zasady etyki, zamiłowanie do nauki i pracy, uczy się ich rzemiosł oraz pracy na roli, odpowiednio do indywidualnych uzdolnień. Niezależnie od zakładów wychowawczo-poprawczych dla nieletnich, zwrócono specjalną uwagę na młodocianych przestępców, przebywających w więzieniach na mocy wyroku skazującego, lub zatrzymanych prewencyjnie pod zarzutem popełnienia ciężkiego przestępstwa. Pragnąc zapewnić im odpowiednie warunki życia, wyodrębniono w więzieniach stołecznych dwa oddziały dla nieletnich do lat 17—jeden dla dziewcząt, drugi dla chłopców. W tych oddziałach tryb życia nie ma wcale przypominać warunków pobytu w więzieniu. Nad nauczaniem, wychowaniem, higieną, odżywianiem, należytem oddziaływaniem wychowawczo-poprawczem etc.—czuwa nie tylko odpowiedzialny instruktor (ka), lecz specjalny Komitet Opiekunów, w którego skład wchodzi: przedstawiciel Ministerstwa Sprawiedliwości (jako prezes Komitetu), sędzia dla nieletnich, lekarz, członek Tow.

Patronatu nad nieletnimi, mianowani przez Ministra Sprawiedliwości, jako też przedstawiciele administracji więziennej. Komitet ten ma prawo przedstawiania swych uwag i spostrzeżeń Ministrowi Sprawiedliwości.

Sędzia sądu dla nieletnich powołuje t. zw. opiekunów sądowych, jako swych pomocników, do zbierania potrzebnych informacji i sprawowania opieki nad nieletnimi, nie mającymi dostatecznej opieki rodzicielskiej, lub pozbawionymi jej zupełnie. Zadania opiekuna są bardzo poważne i zdanie jego w wielu wypadkach może mieć wpływ decydujący na dalsze kształtowanie się losów pupila, oddanego pod jego nadzór. Po zbadaniu środowiska (z polecenia sędziego) nieletniego przestępcy, opiekun wydaje opinię, czy: a) stan moralny rodziny jest dobry, i wówczas można nieletniego zostawić pod jej opieką; b) stan moralny rodziny jest wątpliwy i trzeba nieletniemu dodać opiekuna sądowego; c) stan moralny rodziny jest zły i trzeba nieletniego umieścić w zakładzie opiekuńczym, bądź też oddać do zakładu wychowawczo-poprawczego. W wypadku pozostawienia młodocianego przestępcy w dalszym ciągu pod dotychczasową opieką, opiekun sądowy jest w nieustannym kontakcie z rodziną: uświadamia on rodziców lub opiekunów o niebezpieczeństwach, grożących nieletniemu z powodu braku zachowania higieny, skutków używania alkoholu, oraz nadmiernego karcenia, czy też brutalnego postępowania; zwiększa czujność rodziców lub opiekunów nad postępowaniem nieletniego, podnosi w jego oczach ich powagę; w razie zaś, gdy pomimo ostróg i napomnień, wpływ opieki domowej jest zły, wówczas opiekun sądowy składa sędziemu wnioski o umieszczenie nieletniego w zakładzie opiekuńczym i, ewentualnie, o pociągnięcie ojca, matki lub opiekuna do odpowiedzialności. Od nieletniego, oddanego pod opiekę z powodu zawieszenia mu kary, opiekun sądowy bierze piśmienne zobowiązanie wykonania pewnych warunków i ostrzega go, iż w razie niedotrzymania tych zobowiązań, zawieszona kara będzie wykonana. Od czasu do czasu (z początku częściej, następnie rzadziej, ale najmniej raz na miesiąc) opiekun odwiedza nieletniego, bądź też poleca mu zgłaszać się do siebie i zdawać sprawę z jego trybu życia. Jeżeli nieletni nie dopełnia swoich zobowiązań, wiedzie życie próżniacze i pozostaje w złym towarzystwie, tak, że należy się obawiać rychłej recydywy—opiekun zwraca się do sądu z wnioskiem o uchylenie zawieszenia wyroku i wykonanie wyznaczonej kary. Dozór opiekuna sądowego nie ustaje w ciągu czasu, na jaki kara została nieletniemu zawieszona, nawet w tym wypadku, gdy młodociany umieszczony został w terminie, w służbie, bądź w zakładzie opiekuńczym. (dok. nast.)



KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

## NAKSZTAŁT HEINEGO

*Daleka twoja miłość na pustym leży brzegu,  
nieznane morskie dziwa świecącej w mroku strzegą.  
Porywa się, by ulecieć — skrzydła ma słabe i krótkie...  
Wywiały wszystkie żaglowce, rozbite — wszystkie łódki.*

*A moja bliska miłość kręgi zatacza szerokie,  
zawadza skrzydłem o gwiazdy, a drugim o obłoki  
i w takim wyniosłym locie, i w takim szaleńczym biegu  
— nie widzi twojej miłości, tęskniacej na pustym brzegu.*

## ZA CHWILĘ

*O męko, przetykana kwieciem, dźwięczna i wzorzysta,  
idziesz ku mnie... Niech serce tę ostatnią chwilę wykorzysta:  
jeszcze mogę oddychać, jeszcze widzę twarz,  
słońce, ptaki lecące... Mgnienie jedno,  
a wnet się zachłysnę, przerażę,  
porwę się — i o tysiąc mieczów się roztrzę.  
W cieniu grających skrzydeł, śpiewających włosów  
ujrę dno strasznej twarzy, zimnej, bez patosu.  
I mocując się z głębią męki — jak z mogiłą  
za życia pogrzebany — wspomnę, że to miłość!*

## OBRACHUNEK

*Dobra miłości moja, spokojna miłości,  
patrzysz memi oczyma na świat, jak na własne rozległe włosci,  
ufasz, wierzysz, wierzysz ciągle i naprzekór, i znowu...  
A ja... Ja stoję nad siecią, która pusta wróciła z połowu,  
i przeklinam fale, co z morza zdobyczy żadnej ku brzegom nie wiodą,  
i myślę o tem, jak ty i ja — miłości moja — powoli umrzemy z głodu!*





ADAM FAG

# TYLKO JEDNE OCZY PATRZA POPRZEZ SERCE

- I

Był to pierwszy zwiastun poranka. I krowi zapach białego mleka, i ołowianą czerń blaszanek witaliśmy okrzykiem: Walenty, Walenty!

A mama już chleb smarowała. I miękka uległość masła, i smakowite rzeszoto sera, i kolorowy przekrój wędliny.

Śniadanie. Aleśmy jeszcze chwilę używali. Ze szczoteczkami do zębów w ustach i białą płachtą ręcznika:

— Walenty, Walenty! A żonie jak tam, lepiej?

Wtedy — śmiech. Kudły włosów roztrzepanych i sukmana do kolan. Buty i kwaśny zapach krów.

Gospodarskie, godne imię: — Walenty. I tyle. Sam bo chłop: młody, lekki, wesoły i pełen bajek.

Bo przynosił ze wsi różności: dla mnie szczygła, i wędkę, i procę. A dla Baśki: koraliki, kwiaty, paciorki. A dla kucharki: raz dynie, a raz słoneczniki. I dla wszystkich: leśne orzechy.

Jeszcze umiał pysznie opowiadać: o swoim starym psie, o latach wojny. Przedewszystkiem: o żonie kochanej. Kiedy rachunek dawał za mleko, i kucharka raczyła go herbatą, i dzieci bardzo prosiły: siadał, opowiadał. Najczęściej o żonie. Że ta żona — pyszna, jedyna, najśłodsze kochanie. Że to jego skarb. Że to jego szczęście, jego żona.

Więc mówił: jak z żoną do kościoła chodzi, jak mu kwiatki podlewa, jak gospodarstwo piastuje.

Aż Baśka głupia pyta: — dzieci bocian wam nie przyniósł? — Tylko tyle, że ją w głowę pocałował!

Znów innym razem Baśka, przez okno wychylona, miarkuje: — Eh, niemrawa szkapinka! Siwek twój, Walenty — istna maruda. Opuszczony łeb i ogonem ledwo macha. Chabet.

Tu się Walenty oburzył: i nie chabet, i nie szkapka. Gospodarski koń. A jakże: siwek! I uprząż i skóra glancowita. Wierny koń.

Więc Baśka okrutnie: — a brzydki!

Posmutniał. Westchnął żałośnie. — Cóż, brzydki.. Wszak poprzez serce winno patrzeć oko! Dla panienki cudzy koń, a dla mnie swój, własny, kochany; koń, jak się patrzy, gospodarski.

Przycichła Baśka; czegoś nieswój Walenty, czegoś zasmucony.

II

Jednego ranka lekkość snu tumani jeszcze oczy. Dookoła wrzątek codziennej krzątaniny. Tylko bieda: mleko zawodzi. Niema Walentego,

Puk, puk — westchnienie ulgi — to on. Lecz gdzie tam! — na progu kto inny. Choć w ręku mleczne blaszanki — a przecież nie Walenty.

Więc któż to? Któż dziś mleko miast Walentego przynosi. Co zacz?. Prosimy!

W kuchni nic, jeno — kamienie. Kucharka — kamień, Baśka — kamień, ja — kamień. Gęby się same roztwierają.

Kucharka godnie: to co — od Walentego?

A mleczny zwiastun jeszcze godniej: — nie od Walentego — jeno Walentowa, żona. Bo mąż — w sądzie, za świadka.

W kuchni nic. 3 słupy soli. Język w gębie zatracony. Bo co — co się właściwie stało?

Próg, jak kuchenny próg — wysłużony. A na progu karlica. Garbus. Garbata chłopka. Garbata kobieta. Wielki bąbel kanciastych kości na plecach. Dziwadło. Wykarczowana z piękna, poorana twarz. Potworek, żaba.

— Walentowa — bada kucharka — niby żona Walentego?!

— A jakże — pysznie potwierdza — ślubna, złączona.

Baśka wszędzie swoje 3 grosze: — Walenty mówił, że ma żonę... — Ledwom ją za rękę chwycił — spłonęła.

Garbusek patrzy uważnie, koślawa łapką wskazuje: — To pewnie ta panienka, co Walenty o niej mówił. Dziedziczka pełną gębą.

I na wargach nędzne pozory uśmiechu. Potworek. Żaba.

III

Baśka wciąż zlodowaciała. Walentowa do niej: — wiemy, wiemy. Już się niejedni dziwowali. Chłop na schwał... a ja... Eh...

I beznadziejność myśli tajnej, i jesienna gorycz spojżenia.

Garncze chciwie biel mleka spijają. Baśka patrzy, dręczą ją wyrzuty sumienia. Chce coś dobrego powiedzieć.

— Tyle o was Walenty opowiadał... ojej!

Twarz się skrzywia: to podzięka. — Walenty, o la Boga! Walenty. Na wojnie był — ślubował; wróć — zdrów — uszczęśliwię najgorszego we wsi człowieka. To — ja. Byłam najmizerniejsza — a żyję najwspanialej: Oh — panienczko, to wiem: cała wieś się dziwuje.

Milczenie. Tylko Walentowa dumnie: — kocha mnie, bo kocha. Powiada: — a śłipi ci najpierwsza dziewczucha



ze wsi pozazdrościć może. I gospodarności też. Kucharka wróciła z pieniędzmi. Dzwoniły blaszanki—rześko się ozęgnęła Walentowa: — Niech będzie pochwalony! — Wylegliśmy głowami przez okno. Ładowała blaszanki. Batem się ustroiła, lejcami.

— Brrr! — trzęsła się Baśka—okropność, potwór, karlica.

Westchnęła: — to pewno tylko Walenty potrafi

przez serce patrzeć. A ty, i ja, i kucharka Frania, i wszyscy ludzie — oglądają świat wprost: zimnemi oczyma.

Ocknął się siwek na dole, ruszył truchcikiem. Bulgotały blaszanki, koła i kopyta dzwoniły o bruk. Kiwali się społem: wóz i kobieta. Oboje nędzni, zgięci, wyrudziali. Dobrali się, kłuli oczy brzydota.

Aż zasłonił ich róg bramy.



M. H. SZPYRKÓWNA

2)

## SKŁAMANE SZCZĘŚCIE

Napisałam u góry datę i potem, po długim namyśle, tylko parę zdań — które, oczywiście, zawierały całą treść mego ówczesnego życia i stanu ducha:

— Jutro jest mój ślub. Nikogo niemal Babciunia i staruszek są daleko, a Janek widać o mnie zapomniał zupełnie, skoro mógł wyjechać aż do Ameryki. Wychodzę za barona, choć Lorcia się tak wysmiewała. Ciotka Gertruda mówi, że powinnam być bardzo szczęśliwa. Ale czy ja wiem, jakto się jest szczęśliwą, kiedy się naprawdę jest?...

\* \* \*

Zapomniałam powiedzieć o prezencie od Lorci i o Franciszku, lokaju, który go przywiózł. Obie z ciotką wyjątkowo zgodnie uznałyśmy go za szykanę ze strony Lorci. Teraz — a raczej nie teraz, bo wszystkie te sprawy odeszły dziś odemnie nieskończenie daleko, — ale w każdym razie po jakimś czasie — musiałam przyznać, że nie był samem tylko pragnieniem dokuczenia. Przeciwnie! Zawierał nieporównanie jeszcze więcej perfidji, niż złośliwości — jak wręczenie paczki sucharów człowiekowi, udającemu się na piknik, bez uprzedzenia jednakże, że piknik jest tylko zasadzką, i będzie musiał o głodzie czekać jakiegoś ratunku. A wówczas suchary, oczywiście, mogą być — ratunkiem!

Prezent ten przybył na dzień przed ślubem, już do Zakopanego.

Po rozbiciu przez tegoż Franciszka dużego pudła i odrzuceniu masy papierów, na świat wyłoniła się... maszyna trykotarska. Nie poznałam narazie, co to jest, ale załączony był do niej katalog firmy z dokładnem wytłumaczeniem, na sposób amerykańskich samouczków, co i jak robić należy, aby mieć w domu dodatkowy i spokojny zarobek. Przestałam odrzucać

papiery, i maszyna, nie wypakowana do końca, powędrowała między rzeczy, nadawane na багаż. Byłabym ją wogóle wyrzuciła, gdyby nie mój narzeczony, który, wbrew memu oburzeniu i niezadowoleniu ciotki, zachował raczej spokój. Obejrzał pobieżnie maszynę, zajrzał do katalogu i, kładąc książeczkę zpowrotem do paki, powiedział:

— Nowa i dość kosztowna. Istotnie, pomysł mallowniczy. Ale na wsi może się przydać. Ostatecznie, tyle rzeczy idzie na багаż!

Miałam jednak osobiście inną myśl, również niepozbawioną złośliwości. Babunia pisała, że nasza dawna służąca, już zresztą dość leciwa, wychodzi za mąż za jakiegoś wdowca w miasteczku. Oto, zaiste, królewski prezent na nowe gospodarstwo! zwłaszcza, że robiła zaciekle rozmaite drobiazgi na drutach, w braku maszyny. Zresztą, miło mi było, małej Haneczce, wystąpić wobec dawnej niani z prezentem, godnym przyszłej pani baronowej! Przeadresowałam osobiście pakę, która została zabita gwoździami i powędrowała z Zakopanego do Białowięży. Do babci pisałam już o moim ślubie poprzednio i dostałam błogosławieństwo z małym, ciemnym obrazkiem Matki Boskiej w poczerńniętym srebrze. Na odwrotnej stronie, na drewnianym blaciku, widniały skreślone słowa:

„Najukochańszej wnuczce, Haneczce Andrieux, którą matka odumarła w dziecinnych latach — w dniu zaślubin, błagając o opiekę nad nią Matkę Boską Ostrobramską, Opiekunkę Opuszczonych — z błogosławieństwem i modlitwą o szczęście ofiarowują Dziadkowie.

Wielokrotnie ucałowałam i oplakałam małeńki, ciemny obrazek. Ach, jakże go znałam! Był zawieszony zawsze nad łóżkiem babuni, jako jej błogosławieństwo ślubne jeszcze od rodziców. Co roku,



w rocznicę ślubu dziadków, był uroczyste zdejmowany i zabierany na zamówioną mszę; kiedy zaś babuni trudno już było z powodu choroby nóg chodzić do kościoła, choć był zaledwie o kilometr od leśniczówki — ksiądz proboszcz odprawiał mszę u nas, i maleńki obrazek stał zawsze na improwizowanym ołtarzyku, który ubierałam już w przeddzień zielenia i kwiatami Babunia wymagała, abyśmy jej ze starszkiem przyrzekli w razie śmierci włożyć obrazek do trumny. Dzięki Bogu, żyła! I szerniały, ciemny wizerunek przywędrował do mnie. Była to jedyna pamiątka, jaką w nowe życie zabierałam z rodzinnego gniazda. Bo i cóżby zresztą miały do robienia nasze ubogie, tamtejsze sprzączki w nowym moim życiu, tak niepomiernie wspanialszem już teraz, a zapowiadającym się jeszcze wspanialej...? Na bieliznie pościelowej i stołowej ciotka kazała wyhaftować zawczasu koronę.

— Co innego, twoja osobista, nie mówię: nie jesteś osobą utytułowaną. Ale skoro mąż twój jest baronem i, uważałam, ma na rzeczach tu i ówdzie swój herb: dlaczegobys tego nie miała zrobić? Wyprawę dostajesz przyzwoitą, nie wymawiam, ale nawet i w zupełnej zamożności prędko sobie dorabiać ani ze stołowej, ani z pościelowej bielizny nie będziecie potrzebowali. Niech więc będzie odrazu, jak dla małżeństwa.

Mój narzeczony, który kiedyś podobną aluzję słyszał, odpowiedział coś żartobliwie, ale natychmiast pochylił się i, całując ciotkę w rękę, zadokumentował:

— Że cioteczka dba o Hanię, rozumiem, — od jakiegoś czasu przeszli na tryb rodzinny, i ciotka całowała go w czoło — ale, że myśli jeszcze o mnie, to już jest naprawdę niezasłużenie dobrze!

— No! No! — mruklawie opierała się ciotka. — Ostatecznie, ludojadem nie jestem. Trzeba dla niej coś zrobić, skoro się może! Dzięki Bogu, że tak się to wszystko ułożyło...

Nie dopowiadała zdania, ale wiedziałam doskonale, że miało to oznaczać:

— Dzięki Bogu, że robi partję i że nie będzie potrzebowała klepać biedę!

Co do spraw materialnych, baron pomijał je z prawdziwie wielkopańskim uśmiechem pobieżnej pobłażliwości, który mówił, że są to rzeczy, które mogą być, albo nie być, gdyż dla niego roli nie grają, jako dla człowieka, nienawykłego oglądać się na cudze, zwłaszcza, że ma i swego aż nadto dość.

Bilecik, jaki Lora dołączyła do owej nieszczęsnej maszyny, był lakoniczny i dość zagadkowy. Szczęściem czy nieszczęściem, było to w ciągu krótkich dwu dni między naszym przybyciem, a moim ślubem i odjaz-

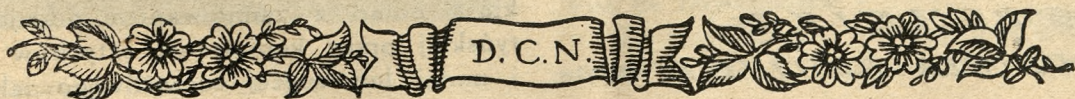
dem, kiedy milion spraw ważniejszych nie pozwalał na zgłębianie hieroglifów psychologicznych mojej zawiłej kuzynki. Na wymyślnym papierze, z jakimś egipskim symbolem zamiast herbu (Loreta mówiła, że to brzydota, dobra tylko chyba na derki u koni), stało wypisane całowej wysokości prostym, modnym pismem:

— Kochana Hanezko! Przesyłam Ci masami życzeń ślubnych, które mi zechciej, proszę, podzielić się z baronem, jako wstęp do innych, obowiązujących w małżeństwie, podziałów. Prezent ślubny wyda Ci się może narazie trochę dziwaczny, ale kto wie, czy się nie przyda? Stare zamki rodowe, o jakim wspominał Twój przyszły mąż, są zimne, i będzie Ci bardzo do twarzy, jako kasztelance, z temi warkoczami, siedzieć w wykuszu średniowiecznego okna i prażyć na tej, zmodernizowanej wprawdzie, praśniczce ciepłe trykoty, w oczekiwaniu, żeby najdroższy wrócił z polowania. Polowania u barona są, jak mówił, sławne, zgóry też się cieszę, że nas tam kiedy zaprosicie, po najdłuższych miodowych miesiącach, które oby były szczęśliwsze... niż sobie wyobrazić mogę. W Zakopanem będę, ale zapewne dopiero za tydzień, więc Gercia może na mnie zaczeka. Mimiś przyłącza się do części oficjalnej mego listu i zresztą szykuje depeszę.

Drobne nieporozumienia, jakie między nami się zdarzyły, nie powinny przedostać się przez Rubikon, jakim jest małżeństwo; tak że liczę na zupełną harmonję, tem łatwiejszą do utrzymania, że tajemnicze czeskie włości Twego męża (czy może to były Węgry? nie pamiętam!) — są dość daleko, abym nie była natrętnym intruzem w Twojem dalszem i, mam nadzieję, już teraz — nienaruszalnem rejentalnie szczęściu! W każdym razie przyjmij dobrą radę wraz z maszyną, które to obie rzeczy może wydadzą Ci się narazie zbyt cenne: nie zaniedbuj stosunków z Białowieską Twoją przeszłością: — może się jeszcze przydać. Chi lo sa? L.

Jak na list z życzeniami ślubnymi, był nieco dziwny! Co miała na myśli...? Znając Lorę, nie łudziłam się, że coś na myśli ma. Tylko ciotka uważała ją za lekkoducha, bo tak Lorze dogadzało. Ale co mogła chcieć insynuować... Co? Dlaczego ta nagła wzmianka o Białowieży i ironiczne aluzje do szczęścia?... Byłam niezadowolona i podrażniona. Baron śledził wyraz mojej twarzy, gdy czytałam, i zbliżył się do mnie.

— Nie chciałbym być niedyskretnym, ale hrabina zdaje się raz jeszcze ukazała różowe żądęłko? Niech moja królowa się tem nie przejmuję. Są to kobiece sposoby.





STEFANJA PODHORSKA — OKOŁÓW

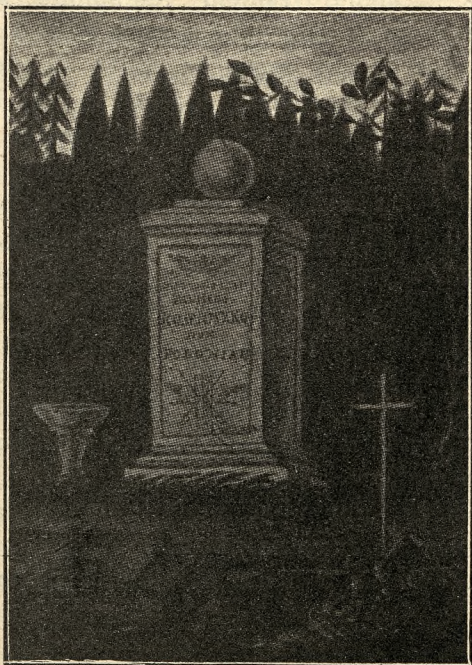
## TAJEMNICE IMIONNIKÓW

(ze zbiorów p. Feliźsa Oppmanna)

Płaska, podłużna książeczka, w czerwonej, snac safjan imitująca, morę oprawna. Pośrodku okładki dyskretnie orzeł polski wyciśnięty, w narożnikach nieco mocniej wianuszki empirowe, z rozwianemi według mody ówczesnej wstęgami, a w każdym, jak w objęciu ramion zachwyconych, zamknięta ta sama korona, która zdobi głowę królewskiego ptaka. I znów przy czterech bokach okładki cztery pięciopalkowe szlacheckie korony świadczą czterem stronom świata i wszystkim po wsze czasy czytelnikom, że nie bylejakiego była rodu właścicielka tego sztambuchu i niezmordowana twórczyni tych, rozbrajających naiwnością, a podziw budzących benedyktyńskim mozołem, konterfektów i landszaftów, któremi „pamiętnik” swój wypełniła.

I to jest wszystko, co o niej wiemy. Bo, wbrew swej nazwie, imionnik to bezimienny. Nikt się do niego nie wpisywał. Sama właścicielka go wypełniła. Ani śladu na kartach jego jakiegokolwiek nazwiska, czy napomknienia, któreby na trop tajemniczej kopistki naprowadziło. Bo kopistką przedewszystkiem jest ta dama, co w sztambuchu swym zgromadziła podobizny wodzów narodowych, widoki gmachów i ruin, „chimny” (pisownia autentyczna) i wiersze patriotyczne, pod których płomiennemi słowy, jak

w Solurze.



— P O M N I K —  
— T A D E U S Z A K O Ś C I U S Z K I —



Ostatni Hold Wierności.

Wohalen sławny Władca, i Władcy utraci,  
Kierzącego mi Maxyma, stalszy uisli Kato!  
Wybrwali w mym kłachim, dni jego upięsary,  
Wielkim był w porupisłości, wniezrazgicm był wiejsary.

pod ognistą okładką swej książki, ukryła gorące serce patriotki.

Najpiękniejsze jej lata przypaść musiały na okres między powstaniem 31 a 63 roku, bo z tych lat pochodzą poezje Goszczyńskiego, Gosławskiego, Lenartowicza, Syrokomli, Ujejskiego, w drugiej części sztambuchu, rękopiśmiennej, pieczołowicie na karty jego wciągnięte.

W pierwszej części serce patriotki, nie napróżno w „talentach” kształconej, przemówiło ołówkiem, piórkiem, akwarelką, pegazami młodej wyobraźni, wrzęgniętymi kornie w rydwan miłości Ojczyzny. Więc oto na pierwszej stronie masz „Obraz życia T. Kościuszki”. U góry winietka: dąb, burzą strzaskany, z monstrialnie wielkimi, bardzo zielonemi liśćmi. Jeden z nich ulata z wichrem nad równiną, porosłą kopulastemi krzakami.

A dalej, na tle mocno aksamitnej zieleni, zwieńczonej ostrokołem cyprysów, przypominających głowy cukru, w bliskim sąsiedztwie pokręconego lauru, o mozolnie wypracowanych pojedynczych listeczkach, wznosi się różowy (ach! jakże bardzo różowy!) pomnik Tadeusza Kościuszki w Solurze, podobny do dużego, kwadratowego pieca, z kulą na wierzchu i z dokładnie wykaligrafowanym napisem na frontowej ścianie.

Na tym obrazku, jeżeli dodamy jeszcze „Kaplicę, wystawioną w dniu 3 Maja 1791 r. na pamiątkę utworzenia Ustawy Konstytucyjnej”, kończą się oryginalne, czy też nawpół oryginalne próby talentu bezimiennej rysowniczkii, która odtąd z zamiłowaniem oddaje się benedyktyńskiej pracy kopjowania sztychów współczesnych i mniej lub więcej szczęśliwego ich kolorowania.



Ujrzymy więc kolejno: wizerunek Cyprjana Godebskiego i grób jego „w Powązkach“ (znowu ceglasto różowy); dawnego grenadjera polskiego z ponową kitą przy bermycy i z miną setnego łobuza; grób Napoleona na wyspie św. Heleny z dwiema płaczącymi wierzbnami; księcia Józefa w obozie; księcia Józefa, skaczącego do Elstery, i wreszcie (a to może w całym albumie najciekawsze) widoki zamków i ruin, od Zamku Krakowskiego począwszy, kończąc na Czersku, Olsztynie, Chęcinach, — wszystkie według sztychów współczesnych. Co w tej godnej kompanji robi Wolter, zabłąkany między sarkofagiem Godebskiego, a Świątynią Opatrzności? Czyżby właścicielka sztambuchu podświadomie składała hołd tradycjom wieku oświecenia?

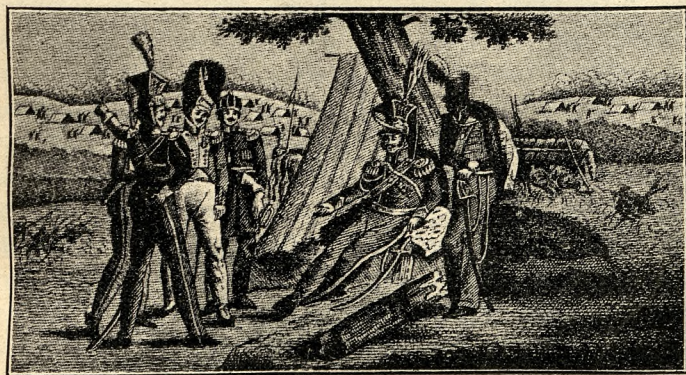
Wśród poezji patriotycznych na uwagę zasługuje „Modlitwa na wiosnę wygnańców Syberji“, wiersz niedoleżny, niewątpliwy apokryf, podpisany, napewno w dobrej wierze, imieniem .. Adama Mickiewicza.

Zbiorek kończą wiersze okolicznościowe z 1861 r. A dalej, dużo jeszcze pozółkłych kartek czeka na pióro, które śmierć dawno już wytrąciła z ręki... Co się stało z właścicielką sztambuchu? Czy przeżyła powstanie 63 r.? Czy straciła w niem kogo z bliskich? Czy nosiła żałobę narodową: białe obszywki przy czarnej, powłóczystej sukni? A może na czarnej aksamitce krzyżyk drewniany, wycięty z syberyjskiego cedru przez wygnańca, skazanego na dośmiertną katorgę w kopalniach, ozdobił szyję właścicielki?.. Może..

To pewna, że pod ognistą okładką drobnej książeczki bije i dzisiaj jeszcze gorące serce patriotki, której kości dawno rozsypały się w proch i spoczywają, jak mniemać należy, w sąsiedztwie umiłowanych przez nią mogił: Godebskiego i Pięciu Poległych — „w Powązkach“...

\* \* \*

Inny sztambuch i świat nowy. To już nie patriotka z „kongressowskich kościołów“, ale światowa wilnianka z epoki wczesnego romantyzmu (1816—1830), lubująca się we francuszczyźnie, amorkach i gładkich



Księżę Józef Poniatowski w obozie



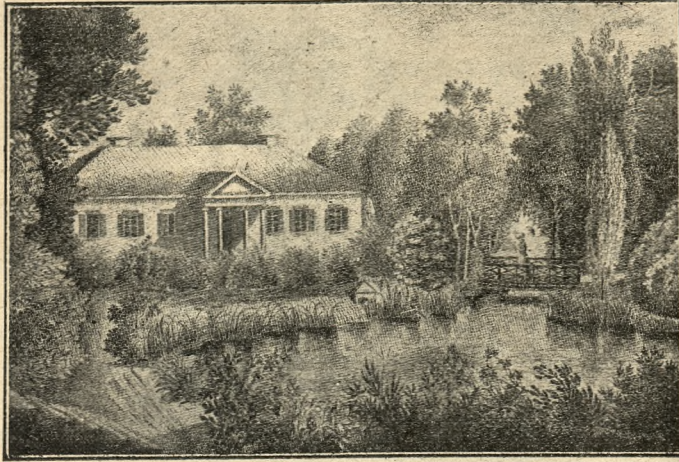
Taką właśnie uwiecznił ołówek jednego z wielbicieli...

komplementach. Uczucia jej patriotyczne nie były zbyt drażliwe, skoro na okładce sztambuchu pod szkłem w medaljonie widnieje profil — nie Bonaparte — gdzie tam, broń Boże! — ale Aleksandra I w wieńcu laurowym na głowie... Jak z tym „empereur de toutes les Russies“ godzą się pieśni i melodie narodowe, dyskretnie zresztą wpisane wyrazistym i drobnym pismem w r. 31 przez Szymona Ośniałowskiego, podporucznika Pułku 4-go strzelców pieszych, a wówczas już „jednego z Jeńców Polskich“, — to jest tajemnicą tego serduszka, napewno mocno bijącego w tańcu pod modnym szalem, i tej główki, drzemiącej w trefionych misternie puklach, po których, niczem po falach, żeglował fantazyjny kapelusik, różą podpięty.

Taką właśnie, pulchną nieco, zdziwioną i okrągłooką uwiecznił na kartach pamiętnika ołówek jednego z wielbicieli. Ot, Telimena w młodych latach, nic więcej. Kult dla „Peterburka“, sercowa inklinacja do dzielnych polskich wojaków, zresztą prawdopodobnie bujny, kresowy temperament; krzepka fizyczność, wykarmiona na litewskich kołdunach i ruskich blinach ze śmietaną, w białym dworku z gankiem na czterech słupkach i stawem, obrosłym rokiciną, przed oknami, gdzie romantyczny mostek i budka dla łabędzi świadczyły o „uwspółcześnianiu się“ mieszkańców, a przynajmniej żeńskiej jego progenitury. Ten dworek, i sadzawkę, i mostek z modną damą w stylowej budce, odnajdziemy na rysunczku z podpisem: „Vue de Boywidziszki“.

Te Boywidziszki, — to zapewne gniazdo rodzinne młodej Telimeny, skąd hucznie i dwornie zjeżdżało





„Vue de Boywidziszki“

się do Wilna na karnawał, aby tańczyć i szaleć, i zbierać do imiennika ponętne suwniry: anielskie główki kobiece i karykatury czynowników; kwiatki, chatki, gaiki, amorki, w arcyniewygodnej pozie siedzące na kotwicy (symbol nadziei); sztychy do bajek Lafontena i zagadkowe jakies malowidła scen rynkowych, czy Konika Zwierzynieckiego, — niewiadomo, bo twórca przemilczał dyskretnie zarówno imię swoje, jak i treść obrazka.

\* \* \*

Pani Emilja z Kobylańskich Kozłowska, czystej krwi koroniarka, musiała być typem matrony polskiej czasów międzypowstaniowych (1831—63), gdyż w jej sztambuchu ciągle jest mowa o nadzwyczajnych cnotach, talentach etc. najdroższej Emilki.

Czy z temi cnotami w parze szły i niewieście powaby? Sylwetka tej zacnej pani, zdjęta po jej owdowieniu w 1840 r., ukazuje nam energiczny, regularny profil, głowę kształtną o wysokiem czole, obciążoną ztyłu grubym warkoczem, w węzeł upiętym; smukłą szyję, kibić kształtną, wciętą, a nienazbyt powiewną, jak na prawą sarmatkę przystało. Jednem słowem: typowa polka.

Życie spędziła zapewne głównie na wsi, w Kozłowie i w Siodle, bo w tych miejscowościach datowane są zapiski sąsiadów, przyjaciół, wielbicieli i... dziewięćdziesięcioletnich matron, drżącą ze starości ręką wpisujących komplementy i serdeczności przeróżne dla drogiej pani Emilji.

Wierszy mało, rysunków prawie niema, — i jedne i drugie okropne, — zato, począwszy od lat siedemdziesiątych, dużo wklejanych fotografii. Sztambuch po mału przeradza się w klasyczny album, pogotowie rantunkowe nudy, stale goszczącej w burżuazyjnych salonikach epoki pozytywizmu.

W r. 1877 pani Emilja zawitała do Druskienik; wówczas jeszcze „morzem piasku” oddzielonych od świata cywilizowanego. Czy przybyła tam dla pora-

towania zdrowia? Wątpię, bo liczne zapiski stałych mieszkańców Druskienik, których przyjaźń i szacunek zaskarbić sobie umiała, noszą daty grudnia i stycznia, zatem miesięcy, niebardzo sprzyjających kuracji i kąpielom, w owe czasy jeszcze dość prymitywnie urządzonym.

Istniała już naonczas ona tradycyjnie związana z imieniem Druskienik nazwa „Prababka” — sosny odwiecznej, stanowiącej cel spacerów wszystkich kuracjuszy, jak o tem świadczy zapisana na ostatnich stronach pamiętnika „odpowiedź na zapytanie: — dlaczego wszyscy chodzą do Prababki, a nie do Pradziadka?! — Sosna ta trzymała się krzepko jeszcze w początku 20-go stulecia, choć kilka wieków przytłaczało jej barki; dopiero wielka wojna europejska zadała cios śmiertelny staruszce.

Pani Emilja przeżyła jeszcze lat niemało. Najpóźniejszy w jej sztambuchu zapisek nosi datę 1891 roku. Jak dziwnym i obcym musiał się wydawać świat pozytywizmu staruszce, której mąż, zmarły w r. 1840, wycinał z czarnego papieru sentymentalne winietki i pożegnał ją na dwa lata przed śmiercią na kartach sztambuchu takim romantycznym madrygałem:

„Czas wszystko niszczy, droga żono moja!  
W prochy zamienia wiekuiście głązy,  
Zniknie więc kiedyś ta książeczka twoja  
I kreślone w niej wyrazy.

Jedną nadzieją cieszę tylko siebie,  
Gdy czas śmiertelnym ugodzi mnie grotem,  
Że w tamtym świecie żyć będę dla ciebie,  
Emilciu! pamiętaj o tem.

Wincenty Kozłowski.“



Amorek w arcyniewygodnej pozie siedzący na kotwicy



## Z ŻYCIA EKRANU

„Pan Tadeusz”

I znów muszę wrócić do filmów polskich i do przeróbek z dzieł literackich. Te dwie sprawy są ze sobą w ścisłej łączności, gdyż produkcja polska, w braku oryginalnych scenarjuszów, zwróciła się ostatnio do literatury, jako do jedyne go źródła, skąd można czerpać tematy, rzekomo teje literaturze na chwałę i kinematografji na pociechę, faktycznie zaś — na pogębienie jednej lub drugiej, a często i — obu.

Im więcej widzę filmów, przerobionych z dzieł, które dla literatury są pewną niezachwianą wartością, tem bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że wybraliśmy złą drogę. Cudze doświadczenie niczego nas nie nauczyło, a przecież dość przypomnieć sobie „Fausta” (reż. Murnau’a), ażeby się przekonać, że filmowanie arcydzieł literackich, nawet w środowiskach o dużej kulturze kinematograficznej, jest rzeczą ryzykowną i może mieć charakter jedynie eksperymentalny. Ale widocznie nie przestaliśmy być „pawiem i papugą narodów”. — Niemcy mają „Fausta” — my musimy mieć „Pana Tadeusza”! — powiedzieli sobie nasi filmiarze, i otrzymaliśmy w rezultacie... ilustracje do niektórych ustępów Mickiewiczowskiego poematu. Zachodzi pytanie, czy wobec stanu naszej kinematografji można wogóle było zrobić z „pana Tadeusza” coś lepszego, niż to zrobił p. Ordyński? Wątpię. Wprawdzie niektóre ustępy „Pana Tadeusza” są tak plastyczne (choćby opisy przyrody), że napozór wydaje mi się dostatecznym ściśle trzymanie się tekstu, ażeby obrazy te uczynić kinowemi, ażeby je ożywić, podczas gdy u p. Ordyńskiego mają one zalety raczej fotograficzne. Ale, wnিকnąwszy w rzecz głębiej, przekonamy się, że nawet i to nie pomogłoby do stworzenia z „Pana Tadeusza” filmu. Wartość filmowa „Pana Tadeusza” mogłaby wtedy tylko dorównać w pewnym stopniu wartości literackiej, gdyby genjusz reżysera równał się, choć w części, genjuszowi poety. Gdzież znaleźć takiego reżysera?!

To też, pomimo cechującej ten film ogólnej kultury i pietyzmu dla Mickiewicza, „Pan Tadeusz” Ordyńskiego dla kinematografji polskiej jest pozycją straconą. — A jednak film ten miał w Warszawie olbrzymie powodzenie — powie niejeden — widocznie więc był to film dobry. — Tu właśnie leży nieporozumienie. Powodzenie to nie było w żadnym razie triumfem sztuki kinematograficznej. Szukać go należy niejako na marginesie filmu. Przedewszystkiem, premjera „Pana Tadeusza” rozpoczęła szereg uroczystości, związanych z obchodem dziesięciolecia wskrzeszenia Państwa Polskiego, a więc przypadła na okres pewnego ogólnego nastroju patriotycznego. Obrazy naszej przeszłości, pokazywanej na ekranie tak rzadko, nie mogły nie poruszyć pewnej strony wrażliwości, przy-



Pan Tadeusz i Zosia — z filmu „Pan Tadeusz”

rodzonej każdemu człowiekowi: — poczucia przynależności do narodu i jego historii. A cóż dopiero w takim wypadku, kiedy mostem między przeszłością a teraźniejszością jest cudny wiersz Mickiewicza, kiedy w każdym niemal słowie widz doszukuje się analogji, kiedy odczytuje je, jak proroctwa? Możliwe, że widzowie, nieznający „Pana Tadeusza”, których nie pociągał sam obraz (akcja porwana, chaotyczna, dla nieznających poematu — nawet niezrozumiała), ulegali sugestji wiersza, odczytywanego zbiorowo, w odpowiednim nastroju, sprzyjającym poddaniu się jego urokowi. Ale czy tą drogą „Pan Tadeusz” dotrze „pod strzechy”? Znów muszę wyrazić wątpliwość. Raczej powrócą do niego ci, dla których przestał już dawno być czemś żywym i jest już tylko czcigodnym zabytkiem w bibliotecznej szafie, zabytkiem, po którym nie spodziewali się, że zdolny jest ciągle jeszcze wywoływać tyle głębokich wzruszeń. Czy więc sfilmowanie „Pana Tadeusza” odegra jakąś rolę propagandową w kierunku popularyzacji Mickiewicza — odpowiedzieć trudno. Wiemy z doświadczenia, że publiczność, dla której ekran ma być zachętą do czytania, jest, jak dziecko: nie obchodzi jej sławne nazwisko, które jest dla niej czemś niewiadomem — musi ją pociągnąć obraz, jego treść, co w tym wypadku jest bardzo wątpliwe.

Następny artykuł poświęcę przeróbkom z Żeromskiego.

Stef. H







## TEATR NOWY

„Adwokat i róże”.—Komedja w 3-ach aktach Jerzego Szaniawskiego. Reżyserja Aleksandra Zelwerowicza. Dekoracja Wincentego Drabika.

Szaniawski jest autorem, którego ani czas, ani przestrzeń nie są zdolne zawrzeć w granicach, mogących krępować lub wiązać jego możliwości twórcze. Nie przebiera on w oceanie drobiazgów ideowych, nazwanych, skojarzonych ze znanem już „dzis”, pamiętnem „wczoraj”, lub przeczuwanem „jutro”. Umysłem subtelnym, nastawionym na najwyższy ton, ogarnia on odrazu syntezę Wartości, którą nazywa dążeniem do absolutnego dobra, i wkłada ją w życie codzienne, aby żyła w niem i kielkowała jak najlepsze ziarno. Osią każdej jego sztuki jest zawsze jeden człowiek, któregooby można nazwać rezonerem, gdyby nie był tak żywy, jak żywe są wszystkie typy, stwarzane przez Szaniawskiego, a wkoło niego dopiero grupują się ludzie, służący mu jedynie za tło.

W komedji p. t. „Adwokat i róże” ten jeden człowiek Szaniawskiego rozszczepił się na dwóch ludzi, z których jeden jest punktem wyjścia Idee, a drugi — jej następnem ogniwem w przyszłość.

Młody adwokat Marek wstępuje w ślady swego Mecenasa i broni człowieka, który sięgnął po to, o czym on nie marzył nawet nigdy: po jego umiłowaną kobietę. Mecenas dokłada wszelkich starań, aby uratować człowieka, który... chciał mu ukraść żonę. Zona i róże — symbol i prawda — zespoliły się w sztuce Szaniawskiego w jedno, tak jak idea obrony człowieka i wielkiej, nadludzkiej dobroci zespoliła się z ideą samopoświęcenia. Bo, żeby stanąć wysoko, jaknajwyżej, należy umieć bronić tego, co kradnie „na mojem podwórku” — mówi Mecenas. I do doskonałości tej dochodzi on i Marek. Natomiast Łukasz, hodowca róż — drugi uczeń Mecenas — cofa się w pół drogi, opuszcza dom, żyjący w spokoju kwitnących róż, i odchodzi — za kobietą. Nie dorósł jeszcze do wielkości ducha swego mistrza.

W tych krótkich słowach nie jestem wstanie uwypuklić dokładnie całego kośćca ideowego sztuki, ani tembardziej jej subtelności. Wszystkie nici splatają się tutaj niezwykle harmonijnie, a wypływając z jednego punktu — schodzą się w nim znowu, jasno i wyraźnie.

Zelwerowicz, jako Mecenas, pokazał nam bogate możliwości swego wielkiego talentu, który tak łatwo potrafi przerzucić się z groteski do tragizmu.

Patos, który tu byłby najmniej szczęśliwym rozwiązaniem postaci, a który groził lada chwila, rozplynął się nieznacznie w wielkiej prawdzie i naturalności powieści, co przedewszystkiem uderza w scenach z Damą, gdyż, niestety, p. Dunin-Osmólska odrazu chwyciła fałszywy ton i estradowo oddeklamowała całą rolę. Pan Warnecki w roli Marka chwiał się początkowo, nie dając wyraźnego typu; lecz, porzucając od kapitalnego drugiego aktu, stanął już na wysokości zadania. Poza to cały zespół grał doskonale. Dekoracje Drabika, jak zwykle zachodowo-słoneczne, ale ładne. Sztuka prześliczna. Z. M.

## Z KSIĄŻEK

Marja Pawlikowska: „Paryż”, — Warszawa 1929 r. Nakładem księgarni F. Hościaka.

Miłość i śmierć — dwie siostry bliźniacze — nigdzie chyba tak silnie nie przemawiają do wyobraźni poetów, jak w Paryżu. Szczególniej, gdy poeta samotnym swym profilem świeci, jak kameą, wśród całujących się par wielkiej sali kinoteatru. Albo, przechodząc jeden z mostów na Sekwanie, podsłuchuje pośmiertny dialog dwóch topielic: kotki i dziewczyny.

Samotność rodzi tęsknotę i jest powiernicą poezji. Pod jej dotknięciem otwierają się w duszy głębie i perspektywy, dla tłumu zamknięte. Uroczą kapryśnicą, którą moda, ciekawość i niepokój gna od jednej paryskiej wróżki do drugiej; rozkoszne kobiecisko, które nie może w sobie stłumić instynktownego rozżalenia na „sto tysięcy tancerek, rzeźbionych, jak bóstwo”, które zdeptały jej serce i jego złą pychę, czarodziejka słowa, igrająca niem, jak sznurem opali, przeradza się w korną służebnicę uczucia.

Tam bowiem, w Paryżu, na szpaltach „Matin’a” odnajduje klucz do swego serca: wizerunek komendanta łodzi podwodnej, który utonął przed tygodniem. Błysk jasnowidzenia: „ten, który nie żyje, lepiej mnie rozumie,” — potem krótkie, przymglone niewylanemi łzami, zawołanie po umarłym, który nieznanym był, ale najbliższy, a wreszcie bolesne wyznanie: „serce moje tonie, jak twoja „Ondyna”, najechane przez wieczność, komendancie — —”.

To słowo „wieczność” zamyka jedną, znaną nam już fazę twórczości Pawlikowskiej, i otwiera przed nią nowe drogi, nowe widnokreśli i firmamenty, czekające na posiew gwiazd.

Różowa magia nasiąka księżycowemi blaskami rozmarzenia i melancholji. Miłość, która dawniej tliła na końcu papierosa, godzi wprost w serce zagwianą rozpłomienioną, — śmierć ma oblicze nieznanego kochanka, z którym dzieli rozłąka wieczności.

Jest to jeszcze jeden odwet romantyzmu na duszy przesyconej współczesnością, odwet, który pustoszy pole, aby gotowe było pod zasiew nowych gwiazd poezji.

S. P. O.



Ewa Szelburg: Rzemieślniczek wędrowniczek  
z ilustracjami Nolly Bakowskiej.

Utalentowana pisarka dla dzieci pokusiła się o niewyzyskany temat konstruowania bajek na tle codziennych zajęć ludzkich. W omawianej książce dominującym tematem są prace rzemieślników. Przyznać trzeba, że próba wypadła świetnie. Bajki z tej książki zasługują na większe spopularyzowanie, niż np. głośne bajki Grima.

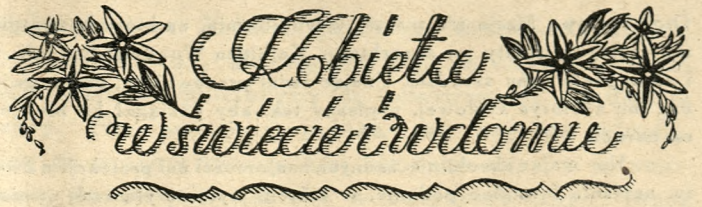
Z szarej pracy człowieka Szelburg wydobyła tyle piękna, tyle walorów społecznych, że książeczkę tę gorąco polecić można dzieciom od lat 8 do 15. Niektóre bajki, zwłaszcza końcowe, przeczyta z prawdziwą satysfakcją każdy dorosły. Podnosząc raz jeszcze duże walory społeczne tej książki, podkreślić trzeba, że w całym dziełku niema cienia moralizowania.

Kolorowe obrazki z wierszykami.  
Wydawnictwo „Płomyczka“

Książka ma charakter obrazkowy. Na grubym, szarym papierze zostały nalepione kolorowe obrazki tej miary grafików, co Bartłomiejczyk, Mackiewicz, Norblin i wielu innych. Przy każdym obrazku znajduje się stosowny wierszyk pióra Baczyńskiej, Porazińskiej i Szelburg. Całość stanowi książkę o wysokim poziomie artystycznym, a jednak przystępną dla dziecka, począwszy od 7-go roku życia. Wydawnictwo to w naszej literaturze dla dzieci jest zupełną nowością.

## KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

- Ś. *Bilińska*: „Pięć opowieści o szczęściu“ — Nowy Sącz. Kurjer podhalański. Almanach Biblioteki Narodowej. Krakowska spółka wydawnicza.
- Dr. *Józef Polak*: „Domowy poradnik leczniczy“ — Wyd. książek nowożytnych. — Podręcznik ten, napisany jasno i przystępnie, obejmuje najważniejsze wiadomości z dziedziny lecznictwa, pielęgniarstwa i ratownictwa.
- Zofja Kossak Szczucka*: „Złota Wolność“ (2 tomy) — Nakł. Krakowskiej spółki wydawniczej. — Zanim poświęcimy osobny artykuł tej świetnej książce utalentowanej autorki, dzielimy się z czytelnikami najżywszą radością z powodu ukazania się dzieła tak ogromnej wartości i miary.
- Henryk Bezmąski*: „Wspomnienia dzieciństwa“ — Nakł. Tow. Wydawniczego. — Jest to książka, pokrewna utworom Dąbrowskiej, Kadena i Kruszewskiej, wyświetlającym w reminiscencji klisze dzieciństwa. W omawianej książeczce wszystkie wątki uczuciowe koncentrują się na postaci niani, przedwojennej, tradycyjnej niani, której ciemnotę i przesady okupuje jasnowidzący instynkt miłości. Książka, napisana przejrzyście, jasno i szczerze, niewątpliwie też trafi temi drogami do dorosłego czytelnika. Popularność jej wśród dzieci wydaje się jednak wątpliwa z powodu braku żywej akcji, wiążącej cenne, miłością bliźnich i dalszych rozświetlone refleksje



### O OPIEKĘ NAD EMIGRANTKAMI POLSKIMI

Pisma nasze przyniosły ostatnio wiadomość, iż rząd francuski zgłosił zapotrzebowanie 10 tysięcy kobiet z Polski do pracy na roli.

Tymczasem od dość już dawna sprawa emigracji polskiej we Francji wywołuje duże zaniepokojenie. Emigrantki, przeważnie najbiedniejsze włościanki i bezrobotne robotnice miejskie, nie znając języka, znajdują się we Francji w bardzo złych warunkach, zarówno materialnych, jak i moralnych. Dopomaga do tego analfabetyzm i niski stopień kultury. Wszystko to czyni te kobiety podatnymi do łatwego zepsucia, a także agitacji komunistycznej, która jest przez partję komunistyczną francuską celowo szerzona właśnie wśród emigrantów z Polski.

Robotnice, często rozproszone, są zupełnie usunięte z pod wpływów i działalności opieki nad emigrantami, działającej we Francji. I ta jednak akcja ludzi, którzy sami są emigrantami i często nie mają dość czasu i środków, niezawsze jest intensywna, aczkolwiek niektóre jej ekspozytury rozwijają się dobrze.

Wobec tego urząd emigracyjny przy ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej nie zgodził się na wysłanie tak wielkiej ilości emigrantek do Francji, redukując kontyngent wychodzący na rok bieżący do 3,500 kobiet. Nadto uzyskano od rządu francuskiego gwarancję ochrony kobiet polskich, pracujących w przemyśle i na roli. Zorganizowane będą mianowicie specjalne komitety opiekuńcze, utworzone na zasadzie porozumienia komisji polsko-francuskiej.

Należałoby jeszcze z naszej strony rozszerzyć sieć opiek polskich we Francji, wyposażając te stowarzyszenia w wydatne subsydja i wysyłając do każdego gniazda opieki specjalne delegatki, urzędniczki ministerstwa Pracy i Opieki społecznej, których zadaniem byłoby badanie warunków pracy robotnic.

N. J.

### ŻYCIORYS KRÓLOWEJ NAPISANY PRZEZ ROBOTNICĘ

Świeżo ukazała się w Anglii ciekawa książka: autorką jej jest kobieta, tematem — życie kobiety. A zarówno autorka, jak i opisywana przez nią postać, są wybitnie interesujące.

Autorką książki jest Kathleen Woodward. Przed kilku jeszcze laty pracowała ona w fabryce kołnierzyków Dzielna, żywa, pełna energii, doskonała robotnica — była jednocześnie wybitną agitatorką, przywódczynią wszystkich społecznych, ekonomicznych i politycznych poczynań swych koleżanek. Prędko jednak sprzykrzyło jej się monotonne życie w pracowni i przyjęła miejsce służącej na wielkim parowcu, udającym się do Afryki. Przybywszy tam, pracowała jakiś czas, jako agentka fabryki maszyn do szycia, wróciła wreszcie do Anglii i została sekretarką jednego z wybitnych polityków z partji pracy.

Kiedyś ujrzała przejeżdżającą na ulicy parę królewską i — postanowiła napisać biografję królowej Marii.

Rządziła się przytem pewną myślą przewodnią: — chciała przedstawić królową tak, aby postać jej spopularyzować wśród klas pracujących, aby zbliżyć królową do ludu.

Zrozumieć tę ideologję łatwo jest temu, kto zna obyczaje i tradycje Anglii. Z racji dziwnego pozornie tradycjonalizmu i konserwatyzmu, najbardziej lewicowych przekonań anglik będzie zawsze... monarchistą i to monarchistą, osobiście przywiązany do osoby króla i jego rodziny. Zaznaczyło się to wybitnie obecnie podczas choroby króla. Król i królowa otaczani są przez wszystkich szacunkiem i sympatją, rzecz prosta jednak, iż na tem tle występować mogą i muszą większe lub mniejsze stopniowania w popularności, zdobytej przez danego członka rodziny panującej.



Otóż królowa Marja nie ma jej w tym stopniu, na który bezwątpienia zasługują zalety jej charakteru. Kathleen Woodward uczuła to i zapragnęła temu zaradzić. Znając świat pracowniczy, postanowiła dać mu życiorys królowej, napisany tak, aby pociągał ku niej serca narodu.

Nie mając absolutnie żadnych znajomości ani protekcji u dworu, napisała formalne podanie, w którym wyłuszczyła swój zamiar. Odpowiedziano jej powołaniem do pałacu buckinghamskiego, gdzie cały szereg osób urzędowych i należących do otoczenia pary królewskiej konferował z nią i udzielał jej różnorodnych objaśnień i szczegółów biograficznych z życia monarchini. Królowa Marja przyjęła ją również na audjencji, raz jeden tylko, aby — jak oświadczyła — nie wywierać na nią wpływu w żadnym specjalnie kierunku.

W ten sposób powstała książka: „Queen Mary, a life and intimate study”, która od razu zjednała szeroki rozgłos swej autorce.

Czy zjedna tę popularność, o jaką chodzi Kathleen Woodward — królowej? Bardzo możliwe. Życiorys ten nie jest ani trochę panegirycznym. Opowiada w prosty, szczerzy sposób, jaką naprawdę jest królowa — wykazuje to, przedstawiając jej charakter i jej życie.

Księżniczka May de Teck była narzeczoną ks. Yorku, młodszego syna króla Edwarda VII, i dopiero nakrótka przed swym ślubem została następczynią tronu, po śmierci ks. Walji, starszego brata narzeczonego. Wychowana była w niezmiernie surowych zasadach, życie prowadziła ciche, odosobnione, nie myśląc nigdy, że zostanie królową Anglii. To zamiłowanie do prostoty i surowego purytanizmu, zaszczerpione przez wychowanie, zjednało jej nazwę purytańskiej królowej. Królowa Mary nosi suknie do kostek, kapelusze z przed lat 20-tu, potępia surowo modę współczesną, a kąpielowe uważa za coś poprostu niemoralnego. W obejściu nie może, mimo wybitnie okazywanych w tym kierunku starań, pozbyć się sztywności i dlatego obcowanie z nią nie jest pociągające. Posiada zato prawdziwe cnoty. W czasie wojny ofiarność i praca jej nie była konwenansem, lecz prawdziwym zaparciem się siebie, poświęceniem całego czasu i sił. Przytem, jeżeli królowa ma swoje uprzedzenia do postępowej mody, to nie ma ich wcale w zakresie postępu. Gdy została następczynią tronu, zabrała się przedewszystkiem do wypełnienia i pogłębienia swego wykształcenia i niema dziś kwestji społecznej lub politycznej, obchodzącej Anglię, która byłaby obcą królowej. Jeden z przywódców partji pracy, Reir Hardie, wyraził się o niej: „Jest to prosta, szczerza natura; gdy ta kobieta się uśmiecha — to widać, że jest naprawdę zadowolona i wesoła, a nie obłudna, jak wiele innych wysokich osobistości”.

Kathleen Woodward twierdzi, że właśnie za te purytańskie cnoty: uczciwość, szczerłość i rozum — powinny cenić i kochać królową kobiety z ludu, które tych cnót strzegą, wymagają ich i cenią je wśród siebie samych.

Prawda, że to nie panegiryk monarchiczny? Pomimo tego a raczej pewno dlatego, książka wywarła duże wrażenie i autorka twierdzi, że jest zachwycona jej dotychczasowymi rezultatami N. J.

#### POTRZEBA DYPLOMATEK

Księżniczka Kantakuzen, prawnuczka prezydenta Granta, członkini filadelfijskiego oddziału Związku Kobiet Amerykańskich wstąpiła do służby dyplomatycznej. Panna Kantakuzen zamierza poświęcić swoją pracę dyplomatyczną wytworzeniu najściślejszego, pokojowego porozumienia i przyjaźni pomiędzy narodami. Kobiety

angielskie przyjęły ten fakt z wielkim entuzjazmem. Szereg stowarzyszeń angielskich uchwalił, że praca w dyplomacji jest obowiązkiem dla kobiet, tylko tą drogą, bowiem, mogą one wpływać na bieg polityki międzynarodowej i przeprowadzać w niej swe postulaty. N. J.

#### KURS DLA PRACOWNIKÓW ŚWIETLIC

Dnia 7-go kwietnia rozpocznie się pięciodobny Kurs dla Pracowników Świetlic, przy współudziale Towarzystw, od szeregu prowadzących Świetlice: „Koło Polek”, „Towarzystwo Świetlica”, „Polskie Stowarzyszenie Młodych Kobiet”, „Koło Pomocy Kulturalnej Młodzieży Pracującej”.

Program kursu obejmuje:

I. Wykłady teoretyczne (Zagadnienia oświaty pozaszkolnej i różne formy kształcenia i dokształcania. Ruch świetlicowy w Polsce i zagranicą. Współczesne zagadnienia pedagogiczne, Psychologia wieku młodzieńczego i młodzieży pracującej. Środowisko domowe i pracy młodocianych. Ustawodawstwo w dziedzinie ochrony pracy. Opieka społeczna. Higiena społeczna).

II. Zebrania dyskusyjne na tematy, ściśle związane z organizacją i prowadzeniem pracy w Świetlicach dla młodzieży.

III. Zajęcia praktyczne (śpiew, dramatyzacja, zdobniczość, gimnastyka, gry, sporty, kółko samokształcenia).

IV. Praktyki w Świetlicach oraz zwiedzanie Instytucyj Kulturalno-Oświatowych i Społecznych.

Warunki przyjęcia:

Do dnia 1. III b. r. kandydaci (tki) zechcą przesłać:

- podanie o przyjęcie z załączeniem życiorysu;
- świadectwo szkolne (6 klas gimnazjum, lub matura seminarjalna);
- zaświadczenie, stwierdzające przynależność do jakiejś Organizacji Społecznej (np.: Harcerstwo, Związek Strzelecki, Związek Nauczycieli Szkół Powszechnych, Związek Spółdzielców, Koło Młodzieży itp.).

Zgłoszenia nadsyłać do Kierownictwa Kursu dla Pracowników Świetlic. — Warszawa, Śniadeckich 8. — Studium Pracy Społeczno-Oświatowej.

Nauczanie na Kursie jest bezpłatne. Wpisowe 5 zł. Uczestnicy z prowincji mają zapewnione miejsce w Bursie Kursu. Opłata za mieszkanie i utrzymanie na przeciąg 5-ciu tygodni wynosi 200 zł.

#### PACYFISTKA FRANCUSKA W WARSZAWIE

Przybyła do Warszawy znana francuska publicystka i działaczka pacyfistyczna, p. Camille Drevet. Pobyt jej w Polsce, poświęcony zagadnieniom społecznym, potrwa 10 dni.

Pani Drevet była w roku ubiegłym wysłana z ramienia Międzynarodowej Ligi Kobiet Pokoju i Wolności wraz z angielską, miss Paye, do Chin, w celu zbadania sytuacji tego kraju podczas wojny domowej i dla propagowania pokoju.

Na tle tego pobytu, p. Drevet wygłosi w Warszawie odczyt publiczny (w języku francuskim) p. t. „O kobiecie chińskiej”.

Przyjęciem działaczki francuskiej zajmuje się Polska Liga Kobiet Pokoju i Wolności.

Do numeru niniejszego nie dołączamy dodatku powieściowego, ze względu od Redakcji niezależnych. W następnym numerze znajdą Czytelniczki podwójny dodatek powieściowy, który zawierać będzie koniec „Oblubieńców” i początek niesłychanie ciekawej powieści znanego autora angielskiego ROBERTA HICHENSA p. t. „GŁOS KRWI”, która świetnie maluje tragedję serca kobiecego w walce z przemożnym instynktem rasy.

REDAKCJA.



## PRZESZŁO CZTERDZIEŚCI LAT ZBOŻNEJ PRACY



Anna Mohlówna

Było to dawno—wiele lat przed światową wojną, która wszystkie stosunki zmieniła. Było to dawno, za czasów, kiedy panny z dworów ziemiańskich, conajwyżej dzieci służby domowej czytać i pisać uczyły, nie marząc nawet o szerszych horyzontach pracy. Było to dawno, kiedy nawet za tę naukę czytania i pisanja po polsku, za polski wykład katechizmu i uczenie pacierza po polsku—płacono kary i żyło się pod stałą groźbą więzienia lub deportacji. I było to na Inflantach Polskich, w tym kraju o czysto polskiej i katolickiej kulturze, który nieubłagane wyroki boskie oderwały od Macierzy.

Hrabianka Anna Mohlówna, urodzona w majątku Józefinów 2 marca 1867 roku, od najmłodszej młodości zdradzała niezwykłą pracowitość i energię. Licząc lat zaledwie dwadzieścia, zaczęła zbierać dziewczęta wiejskie i uczyć je tkactwa, do którego miała specjalne zamiłowanie i zdolności. Praktyczne te zajęcia nie przyciągały specjalnej uwagi władz rosyjskich, co jej pozwalało wieczorami uczyć czytać i pisać po polsku.

Oprócz dziewcząt wiejskich, zaczęły się koło niej grupować młode ziemianki z dworów i pałaców. Te uczennice, po nabyciu nauki tkactwa, wnoszą ulepszone metody tej pracy i narzędzi do niej, uszlachetnione kolory i desenie, do swych domów rodzinnych, gdzie znów uczą tkactwa służbę domową i okoliczne włościanki.

Warsztat pracy domowej staje się wkrótce zbyt szczupły dla niej. Zakłada kursy tkackie w powiatowym mieście Rzechyca, ciesząc się zasłużonym rozgłosem. Praca jej zatacza coraz szersze kręgi, powstają liczne filje jej warsztatów, rozrzucone po całym kraju. Kiedy w 1907 roku p. A. Mohlówna założyła w Wilnie sklep udziałowy przy ulicy Zamkowej, wyrobów do niego, jedynie tylko domowych tkanin, dostarczało już przeszło 20 takich filij. Z chwilą założenia tego sklepu cała jej działalność przenosi się na teren Wileńszczyzny. W roku 1913 zakłada w Wilnie trzy szkoły, z kursem dwuletnim. Szkoły te kształcą zawodowych instruktorów i instruktorki tkackie. Wybucho jednak światowa wojna i niszczy warsztaty pracy, rozrzucone po całym kraju. Rok 1914 jest rokiem

jubileuszowym 20-lecia pracy społeczno-oświatowej p. A. Mohlówny. Zdawałoby się, że ciężkie otaczające warunki powinny ją powstrzymać od dalszej pracy. Nie opuszcza jednak rąk ani na chwilę. Gdy za czasów niemieckiej okupacji władze ją zmuszają do wzięcia udziału w zorganizowanych przez nie „Arbeit Stuben“, stawia w nich warsztaty kilimkarskie, gdzie trzech chłopców robi 100 poduszek na kanapy z orłami białymi na tle amarantowem. No — i Niemcy je rozkupują.

W czasie istnienia tak zwanej „Środkowej Litwy“ zostaje powołana do zorganizowania szkoły zawodowej, narazie początkowej, która w r. 1921 zostaje przekształcona na szkołę trzyklasową o poziomie szkół średnich.

Tak powstała szkoła dla instruktorek, licząca 50 uczennic. Już w r. 1924 dwanaście uczennic ukończyło tę szkołę i wszystkie otrzymały posady instruktorek przy sejmikach, gdzie prowadzą kursy tkackie dla włościan. Początkowo była to szkoła prywatna imienia Anny Mohlówny, korzystająca tylko z zapomogi ministerstwa W. R. i O. P. Od 1 września 1925 r. szkoła ta zostaje wcielona, jako wydział tkactwa, do Państwowej Szkoły Przemysłowo-Handlowej im. N. Dmochowskiej. Panna Anna dalej prowadzi ten wydział z niestrudzoną gorliwością.

Jest o tyle szczęśliwa, że jej wielkie zasługi zostały ocenione za życia, nie tylko przez swoich, lecz nawet przez obcych, bo wrogich Rosjan. W przeciągu 35 lat pracy otrzymała na wystawach 8 złotych medali, 5 srebrnych, 3 dyplomy honorowe i Krzyż Romanowych, co w owe czasy dla Polki było niezwykle odznaczeniem, świadczącym o ogromnych zasługach.

I nie tylko szerzeniu nauki tkactwa poświęca czas swój ta dzielna kobieta. W czasie okupacji niemieckiej powstaje Towarzystwo Przyjaciół młodzieży i zakłada dla abiturjentów szkół średnich „Ognisko Młodzieży“ z czytelnią, salą zabaw i t. p. Tu się ogniскуje całe życie pozaszkolne młodzieży. Panna Anna stoi na czele tej instytucji, pociąga do niej młodzież,



w pracowni kilimów p. A. Mohlówny



wywiera na nią wpływ jaknajlepszy, zagrzewa do wszystkiego, co wzniosłe i szlachetne. W tem „Ognisku“ pod jej opieką rozwija się Harcerstwo polskie. Wre tu bujne życie polskie w czasie zmiennych kolei wielkiej wojny, jej matczyne oko „czuwa“ nad niem. Zbierają się w Ognisku pierwsze, młode zastępy nauczycielstwa polskiego, pierwsi pracownicy polskiej szkoły. Tu przychodzą oni odpocząć po pracy, organizują chóry, przedstawienia amatorskie, zabawy taneczne, odczyty. Staraniem p. A. Mohlówny powstaje przy „Ognisku“ kaplica, ozdobiona pendzlem s. p. Wiwulskiego. Rozbrzmiewają w niej słowa najlepszych kaznodziejów i odbywają się wzorowe rekolekcje dla nauczycielstwa i młodzieży szkolnej. Gdy powstają „Wyższe Kursy Naukowe“, zawsze czujna i ofiarna panna Anna otwiera podwoje „Ogniska“ dla tych kursów; po wskrzeszeniu Uniwersytetu Stefana Bato-rego, organizuje p. Anna pierwszą bursę dla studentek, pozbawionych opieki rodzicielskiej. Życie Wilna kulturalnego jest tak ściśle związane z życiem i działalnością p. Anny Mohlówny, że życzyć tylko można tej zasłużonej działaczce społecznej będącej jeszcze w pełni sił i energii do pracy — długich, długich lat życia i zdrowia dla dobra tych, których swoją opieką otacza.

*Pani Elżbieta.*

## MUSIMY ZNAĆ NASZE PRAWA

### I.

*O stosunkach majątkowych między małżonkami*

Dobra, świadoma organizacja życia—hasło współczesne, nie obce jest i kobiecie dzisiejszej. A w dążeniu do osiągnięcia tego celu okaże się jej często potrzebna znajomość przepisów prawa, obowiązującego w państwie, ułatwiająca uniknięcie zbytecznych konfliktów w życiu. Zapoznać czytelniczki z przepisami, normującymi te dziedziny, z którymi kobiety stykają się najczęściej, będzie zadaniem szeregu pogadanek, który rozpoczyna dzisiejsza, poświęcona tematowi, w karnawale aktualnemu, a więc przepisom, dotyczącym stosunków majątkowych między małżonkami.

Na terenie b. zaboru rosyjskiego kwestję tę reguluje Kodeks Cywilny Królestwa Polskiego z 1825 r. (O prawach obowiązujących w tej dziedzinie na terenie byłego zaboru niemieckiego i austriackiego pomówię w oddzielnym artykule). Zezwala on osobom, wstępującym w związek małżeński, urządzić według ich woli stosunki majątkowe na czas trwania małżeństwa, wymaga jednak, aby uczyniły to przed ślubem—nie później, i to w formie umowy rejentalnej. Jest to umowa przedślubna, nazywana intercyzą. A jeśli małżonkowie umowy takiej nie zawrą? Zmuszeni będą podporządkować się artykułom Kodeksu, regulującym w tym wypadku ich stosunki majątkowe, jak następuje:

Każde z małżonków pozostaje nadal właścicielem majątku swego, z tem, że majątek męża, wskutek zawarcia małżeństwa, nie ulega żadnym ograniczeniom; natomiast majątek żony, wniesiony w chwili zawierania małżeństwa, aczkolwiek pozostaje nadal jej własnością, podlega zarządowi i użytkowaniu męża. A motywy tego postanowienia są treści następującej: — Wzajemne, wskutek związku małżeńskiego, połączenie się osób powoduje również i połączenie się ich majątku; podobnie jednak, jak pierwsze nie znosi indywidualnego istnienia jednostki, tak i drugie nie powinno przyczyniać się do usunięcia własności osobistej, lecz starać się jednoczyć dobra stron jedynie w celu osiągnięcia wspólnych interesów małżonków. Środkiem, do tego celu prowadzącym, jest użytkowanie z obustronnego majątku, aby jednak skutecznie sprawowaniem było, jedno z małżonków zadanie to wykonać musi. Zważywszy jednak, iż żona z obowiązku tego nie potrafiłaby się wywiązać, mąż zarząd i użytkowanie obu majątków w swe ręce ująć powinien.

Wyłączną własnością żony, niepodlegającą ani zarządowi, ani użytkowaniu męża, są jedynie: „pożytki, ze staranności i pracy żony pochodzące, tudzież zyski, jakie żona mieć może z oddzielnego handlu, przemysłu, kunsztu, profesji lub talentu“; ponadto majątek, który otrzymałaby przed lub po zawarciu małżeństwa w drodze spadku, czy darowizny, z takim zastrzeżeniem spadkodawcy lub darującego, z którego wynikałoby, że majątek ten ma nie podlegać zarządowi i użytkowaniu męża.

Na czem polegają prawa męża — użytkownika i zarządcy? Posiada on te same prawa, z niewielkimi różnicami, co zwykły użytkownik, a więc prawo do pobierania dochodów, wypuszczania nieruchomości w dzierżawę i t. p. Może on również sprzedawać majątek żony, obciążać go, podnosić kapitały żony, prowadzić sprawy, dotyczące jej spraw—lecz to wszystko jedynie za jej zezwoleniem, gdyż wszystko, co zmierza do pozbawienia żony jej własności, zgody jej wymaga. Mąż przysługującego mu prawa użytkowania innej osobie odstąpić nie może. Takie są prawa męża w ogólnych zarysach jako, użytkownika i zarządcy. A jego obowiązki? Naczelnym jest obowiązek „ponoszenia ciężarów małżeńskich“. Na to służą mu dochody z majątku żony, jego własny majątek i przychody z niego. Drugim obowiązkiem jest obowiązek spisania inwentarza ruchomości żony i opisanie stanu nieruchomości. Gdyby obowiązkowi temu zadość nie uczynił, i w przyszłości powstał spór, co jest własnością żony, lub jaka była wartość tej własności, żona uprawniona będzie dowodzić to nawet przy pomocy „wieści powszechnej“. Obowiązany jest on do przedsięwzięcia nakładów, koniecznych w celu zachowania majątku żony, który po ustaniu użytkowania wrócić winien do niej w takim stanie, w jakim się w tej chwili znajdował. Jesliby w czasie trwania małżeństwa, lub po jego rozwiązaniu, mąż stał się dłużnikiem żony,



może ona wpisać hipotekę prawną na jego majątku, oraz korzystać z pierwszeństwa, przysługującego jej przed długami osobistymi, na całym majątku męża, ruchomym i nieruchomym. Niewypełnienie przez męża najglówniejszego obowiązku, t. j. ponoszenia ciężarów małżeńskich, przez niedostarczanie żonie i dzieciom przyzwoitego, jak się Kodeks wyraża, utrzymania, wskutek braku chęci, lub niemożności, wywołanej obciążeniem jego własnymi długami przychodów z majątku żony—jest powodem, dla którego sąd na żądanie żony może odjąć mężowi prawo zarządu i użytkowania. Nastąpić to może i w tym wypadku, gdy mąż złemi rządami naraża majątek żony na niebezpieczeństwo utraty. Odjęte mężowi prawo zarządu i użytkowania wraca do żony wraz z obowiązkiem „przykładania się do wspólnych ciężarów małżeńskich w stosunku swojej i męża możności”, a nawet ponoszenia tych ciężarów całkowicie, gdyby mąż nie posiadał majątku, ani możliwości zarobkowania. Gdyby żona zechciała z jakichkolwiek względów przywrócić odjęte mężowi prawa, może to uczynić, lecz jedynie w drodze aktu rejentalnego. Należy zaznaczyć, że dobrowolna umowa, zawarta w czasie trwania małżeństwa, w której mąż zrzekłby się prawa zarządu i użytkowania — jest nieważna. Z powyższych przepisów wynika, że jedynie zawarcie umowy przedślubnej zabezpieczyć może żonę przed koniecznością oddania w ręce męża zarządu i użytkowania jej majątkiem.

M. R.

## TECHNIKA

### III. Odmiany techniczne robót ręcznych

Ciągłość wzrastania nowych założeń artystycznych stwarza konieczność konsekwentnego rozszerzania skali technicznej. Na płaszczyźnie posunięć technicznych wyraźnie zarysowują się kształtowania poszczególnych odmian robót ręcznych. Technika, ściśle spójna z założeniami estetyki, traci swą realną podstawę z chwilą omijania, czy dowolnego przekreślania owych założeń. Na poparcie tego twierdzenia postaram się zanalizować najbardziej charakterystyczne właściwości odmian technicznych.

W zarysie ogólnego formowania wszelkich poczynań, haft (jako technika zasnuwania nici tkaniny), staje przed nami jako pierwowzór, na którym wiedza techniczna robót ręcznych całkowicie się opiera. Pewne odchylenia i zgrupowania tych odchyłeń, pewne ulepszenia w rozwoju materiału, wytworzyły odrębne typy techniczne, pozostające jednak w ścisłym związku z pierwowzorem haftu kolorowego. Najbardziej charakterystycznymi przykładami odmian technicznych są: haft angielski, richelieu, wyszywanie na kanwie, aplikacja, roboty szydełkowe, teneryfy, filety i point-lasse.



RYS. 1.

Haft angielski—jak i technika richelieu, polegają na zasnuwaniu brzegów tkaniny wyciętej. W hafcie angielskim (rys. 1) tkanina wycięta stanowi kształt składowy kompozycji, w technice richelieu (rys. 2) wycinamy obramowanie dla kształtów, łącząc je pajęczkami z całością tkaniny.

Założeniem artystycznym jest dążność do wydobycia liniowego, misternie rysunkowego charakteru kompozycji.

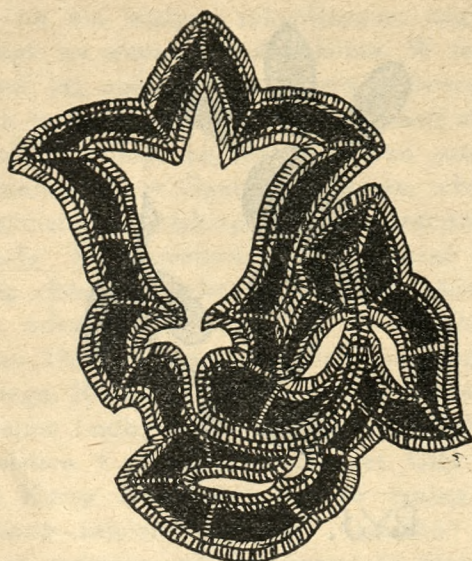
Używanie więc nici kolorowej do obu wyżej wymienionych technik jest z gruntu mylne, jest ponieważ dowolnym przekreśleniem założeń.

Barwa może być wprowadzona tylko jako tło, w formie podłożenia kolorowej tkaniny pod daną robotę. Dla zaakcentowania, czy podkreślenia konturu rysunkowego kompozycji możemy użyć barwy w tych jednych granicach tonacji, w jakich mieści się rysowanie.

Technika wyszwiania na kanwie polega na zasnuwaniu kolorowymi nici tkaniny, zwanej kanwą. Zasnuwanie odbywa się w ramach prostopadłych skrzyżowań nici kanwy — otrzymujemy linje kształtów łamane, schodkowane. Im kanwa drobniejsza, tem załamania są łagodniejsze; idealnie zaokrąglonych linii osiągnąć jednak nie możemy. Charakter kompozycji, zbliżony do typowych właściwości wzoru kilimowego, wyraźnie zarysowuje nam linje założeń artystycznych. Całkowitem nieporozumieniem możemy nazwać dążenie do osiągania linii idealnie zaokrąglonych przez omijanie kratek kanwy, stosując przepołowianie ściągów krzyżykowych. Kanwa, która stanowi osnowę, traci swą wartość realną i tem samem czystość charakteru technicznego załamuje się.

Jednym z ułatwień technicznych jest odbijanie wzorów wprost na kanwie; bez wysiłku liczenia oczek kanwy i oczek wzoru osiągamy ten sam efekt, przy znacznie zmniejszonej pracy. Niemniej jednak czujemy się w obowiązku zrobić pewne zastrzeżenie. Łatwość technicznego wykonania często pociąga za sobą przecenianie wartości estetycznych; ułatwienie techniczne





RYS. 2.

powinno zmniejszyć nakład pracy, lecz jednocześnie dawać całkowite zsumowanie walorów estetycznych. Dlatego też należy być bardzo ostrożnym w wyborze wzorów, odbijanych na kanwie: należy zgóry przewidzieć ostateczny efekt kompozycji w wykonaniu tej techniki.

Jedną z łatwiejszych odmian technicznych jest t. zw. aplikacja. Wycinanie kształtów z kolorowych tkanin, przyklejanie ich, czy przyhaftowywanie na tło tkaniny—stwarza efekty nowe, odrębne od efektów haftu kolorowego. Technika aplikacji opiera się całkowicie na zdobyczach technicznych wycinanki ludowej—odrębność polega na różniczkowaniu używanego materiału. Papier jest materiałem, specjalnie nadającym się do wycinania skomplikowanych misternie drobiazgowych wzorów, podczas gdy tkanina strzępi się, przyhaftowywanie pozostawia grubość linii, ograniczającej kształty, i, siłą rzeczy, charakter wzoru aplikacji zatracą misterność i koronkowość wycinanki. Nie należy jednak zapominać o tej technicznej analogiczności, gdyż liczne i piękne wzory wycinanek ludowych mogą stanowić cenne źródło dla kompozycji aplikacji.

Rozwój używanego materiału, jakość, różnorodność odcieni barwnych, nowe ścięgi—wpłynęły w dużej mierze na wytworzenie całego szeregu odmian w poszczególnych (wyżej omawianych) technikach. Zaczęto też używać połączeń dwu, a nawet kilku odmian, w granicach jednak nakreślonych przez charakter techniczny.

Roboty szydełkowe, teneryfy, filety itp. opierają się na splocie nici, tworząc tkaninę, koronkę itd.

Różnorodność ścięgów, łączenia kolorystyczne i gatunkowe (np. wełna i jedwab) stwarzają łatwość wykonywania najrozmaitszych wzorów. Rozpowszechnione dziś chustki, szale, sweatry, poduszki itd. posiadają wiele wartości praktycznych i estetycznych.

Teneryfy i filety operują misternością rysunku;

w charakterze ich leżą te same właściwości, jakie wyszczególniałam, omawiając haft angielski.

\* \* \*

Odmiany techniczne robót ręcznych, leżące na linii, pokrewnej malarstwu, posługujące się odmiennym materiałem i odmiennymi założeniami technicznymi, cieszą się dziś wielkim powodzeniem.

Batik, liworyzacja i tamponowanie—techniki, powszechnie znane—mają szerokie zastosowanie przy dzisiejszej modzie abażurów, chust jedwabnych, chusteczek kieszonkowych, krawacików itp.

Technika batiku, oparta na technice pisanek ludowych, posiada charakter wzoru, tak pod względem rysunkowym, jak i kolorystycznym, analogiczny kompozycjom pisankowym.

Typowe kreskowania, zakrętaski i kółeczka (jako drobiazgowo wykonane poszczególne motywy) nadają tkaninom batikowanym charakterystyczne piętno estetyczne.

Liworyzacja i tamponowanie nie posiadają, według mnie, tych walorów estetycznych, jakie ma batik. Nieograniczona swoboda w komponowaniu, w nakładaniu barwy, nie posiada wyraźnych założeń artystycznych; liworyzowane i tamponowane tkaniny (mówię ogólnie) są nieporozumieniem, wynikającym z nadużywania pomysłów technicznych na niekorzyść zasad kompozycji.

Technikę batiku chroni silne oparcie przemysłanych i ugruntowanych czynników, podnoszących smak estetycznego wyglądu tkaniny batikowanej, tak pod względem szlachetności rysunku, jak i tonacji barwnej.

Wanda Młodożeńcawa.

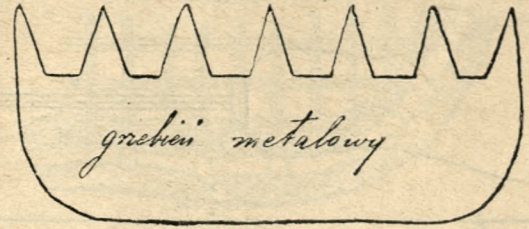
## WYPLATAJMY NASZE KRZESŁA SAME

Tak często zdarza mi się widzieć wyplatane krzesła bardzo wygniecione, lub nawet zupełnie już dziurawe, odstawione gdzieś w kącie pokoju lub za szafę, albo znów specjalnie czemś nakrywane, aby osłonić ich kalectwo. Nieszczęśliwe ich właścicielki tłumaczą się zawsze z takiego zaniedbania, podając za powód kosztowność naprawy, brak odpowiednich rzemieślników, a wreszcie nieumiejętność radzenia sobie w podobnych wypadkach.

Tymczasem wyplecenie takiego krzesła nie jest ani tak kosztowne, ani tak trudne, jak to się niejeden z pań wydaje. Gorzej przedstawia się sprawa z wyplataniem oparcia, bo ono zawsze prawie bywa kryte, i tu konieczna jest pomoc dobrego stolarza, aby krzesło rozebrał, a potem je znów zpowrotem dokładnie skleił. Ale oparcia znacznie rzadziej bywają nadwyżone i dlatego tu mówić będziemy tylko o siedzeniu.

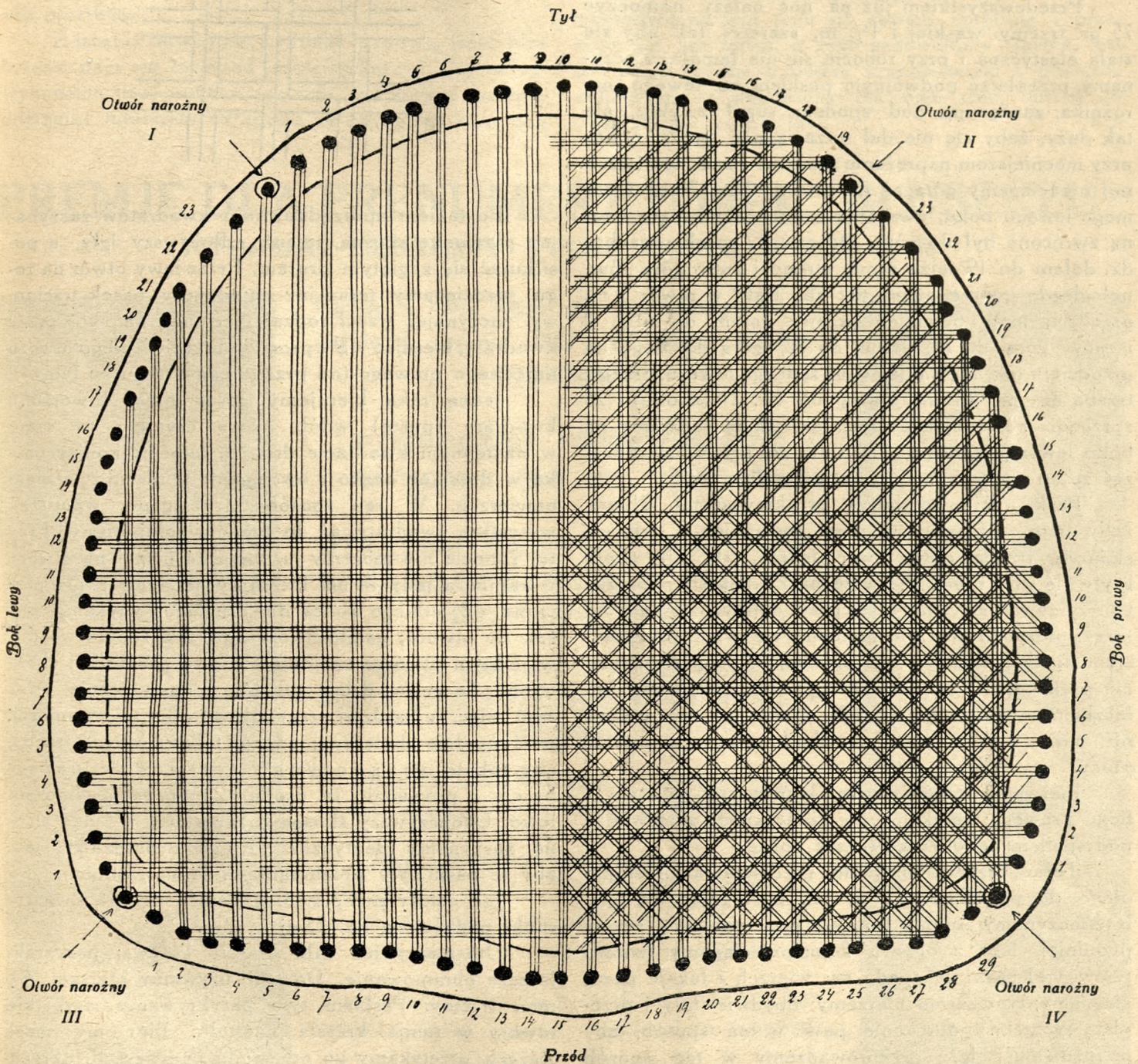


Przedewszystkiem należy sobie przygotować: 1) mocne nożyczki; 2) dwie igły stalowe płaskie (ostatecznie, w braku stalowych, mogą być i blaszane) 1 mm. grubości, 7 mm. szerokości i 55 cm. długości, z końcami zaokrąglonemi. Igła taka musi mieć oczko 25 mm. od brzegu, t. j. od końca, oczko 3 mm. średnicy; 3) grzebień metalowy; 4) kawałek drutu mocnego, zagiętego w ten sposób, aby z jednego końca tworzył oczko, z drugiego osadzony był w drewnianej ręczce; 5) 12 małych drewnianych kołeczków oraz 6) 1 klg. trzciny, specjalnie na ten cel ciętej w 1 i pół mm. lub 2 mm. szerokości paseczki, i parę metrów trzciny 4-0 mm. szerokości. Tą proporcją można wypleść 12 — 15 krzesel.



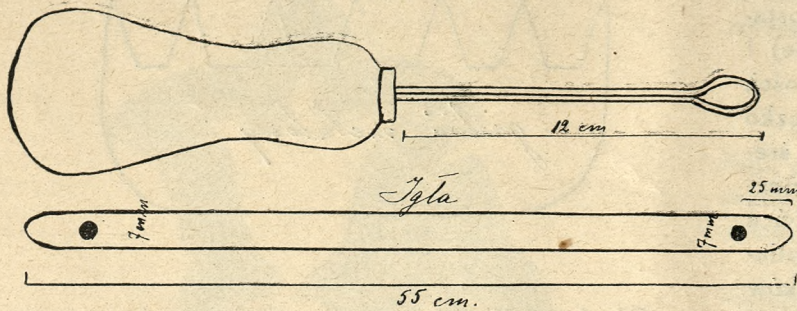
Dla łatwiejszej orientacji podaję rysunki potrzebnych przyrządów, które każdy kowal na wsi, a ślusarz w mieście, przygotować potrafi.

A oto szemat krzesła, które wypłatać będziemy.





Drut do wyciągania pasków



Jak widzimy, ma ono 29 dziurek z przodu, 19 z tyłu, 23 po bokach i 4 narożne. Podzieliłam je na 4 części, oznaczone cyframi rzymskimi, aby uwidocznić wygląd roboty po wykończeniu każdego rodzaju.

Przedewszystkiem już na noc należy namoczyć 75 gr. trzciny wąskiej i  $1\frac{1}{4}$  m. szerszej, tak aby się stała elastyczna i przy robocie się nie łamała. Zaczynamy przeplatać podwójnym paskiem od lewego narożnika, zawiązując pod spodem supeł zwykły, ale tak duży, żeby się nie dał przeciągnąć przez otwór przy mocniejszym naprężeniu pasków. Pasek ten (trzcinę) przeciągamy górą aż do otworu Nr. 17 tegoż samego lewego boku, uważając zawsze, aby lśniąca strona zwrócony był do góry. Od otw. 17 pasek przechodzi dołem do 19 tejże samej strony i znów górą równoległe do poprzedniego, tak aby trafił w otwór 1 na przodzie; teraz powinien przejść dołem do otw. 2 i znów górą do 21; dołem do 22, górą do 3-ego na przodzie; i tak, nie omijając już żadnego otworu, przejść trzeba aż na stronę prawą do Nr. 21 (zboku) i 28 z przodu, postępując później tak, jak to robiliśmy na boku lewym, że otwory 20 i 18 zostały opuszczone, zaś ze strony przedniej nie opuszczaliśmy nic.

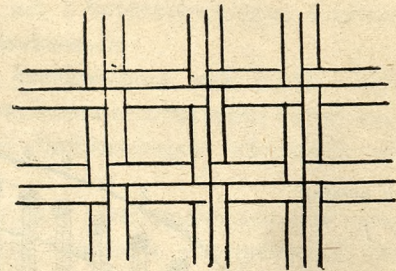
Paski trzcinowe należy przykrawać tak długie, żeby nam starczyły na parę pociągnięć, a gdy się skończą, trzeba dowiązywać świeże, tak, aby supły kryły się pod ramą. Pierwsze paski dają się naprężyć i utrzymywać sztywno ręką; przy dalszych byłoby to rzeczą dosyć trudną, posługujemy się więc przygotowanymi kołeczkami w ten sposób, że po przeciągnięciu paska przez otwór i naciągnięciu, zatykamy kołeczką otwór; w ten sposób pasek już się cofnąć nie może, a ręce mamy swobodniejsze do dalszej pracy.

Pierwsza robota nasza kończy się na otw. 17 boku prawego; zatykamy go kołeczką, zostawiając pod spodem cokolwiek dłuższe końce.

Teraz przechodzimy do przeplatania prostopadłego do poprzedniego, tu już posługując się igłą. Rozpoczynamy robotę tak, jak poprzednio, od strony przedniej, lecz z otworu 2-go; przeciągamy (znowu podwójne) paski ze spodu na wierzch i tak je pozostawiamy; tymczasem bierzemy obydwie igły i przeplatamy nimi poprzednie paski w ten sposób, aby je rozdawać. Igły przeprowadzamy w ten sposób

aż do paska kończącego się na 28 otw., tej samej strony, nawlekamy je trzcina i przeciągamy; tu igły trzeba wywlec, paski przeciągnąć pod spodem do otw. na rogu, wyciągnąć je na wierzch i znów w ten sam sposób przewlec równoległe do poprzedniego, aż do otw. narożnego po lewej stronie. Stąd już prowadzimy czynność naszą aż do „tyłu“, nie opuszczając żadnego otworu, kończąc na otw. 2-im z lewej strony, a otw. 18-ym z prawej.

Teraz bierzemy do ręki grzebień i zsuwamy nim poszczególne paski tak, aby się kwadraciki naszej „cerówki“ ścieśniły.



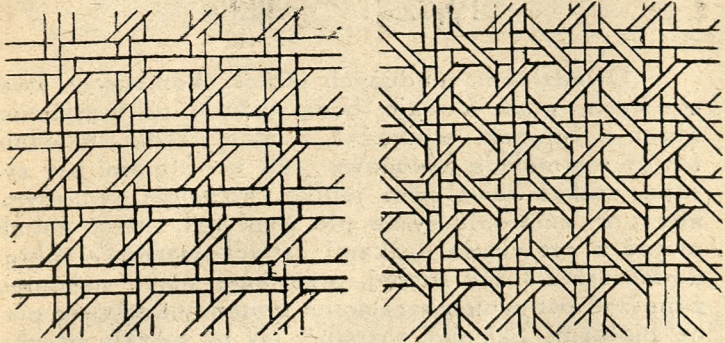
Po takim uporządkowaniu kwadratów zaczynamy plecionkę skośną, tu już odłożywszy igły, a posilkując się zagiętym drutem. Przez lewy otwór na rogu przeciągamy teraz już pojedynczy pasek trzciny, zaczynając trzeci rodzaj plecionki, na skos przez kwadraty, kierując się wprost do przeciwległego otworu narożnego prawego (od przedniego brzegu ku tyłowi).

Jedną ręką kierujemy pasek przez utworzone kwadraty (puste) wdół, drugą czynimy to samo w następnym kwadracie drutem, łapiemy koniec paska w druciane oczko i wyciągamy je razem z paskiem nawierzch. W ten sposób przeciągamy wpoprzek wszystkie kwadraty, aż do przeciwległej strony. Przy tej robocie nie możemy już zwracać uwagi na otwory w ramie, a jedynie na kwadraty trzcinowe; przepleciony od jednego końca do drugiego, wtykamy pasek do otworu, najbliższego leżącego, tak, że przeważnie w jednym otworze znajdują się dwa paski linii skośnych. To się już dzieje zupełnie automatycznie, uważam więc, że bardziej szczegółowy opis tej czynności, jest zupełnie zbędny; jednego tylko pilnować trzeba, aby robotę rozpoczynać z otworów narożnych i prowadzić ją osobno na prawo, osobno na lewo. Ukończywszy skośne przeplatanie w jedną stronę, zaczynamy identyczne z drugiego narożnika, tak, aby te paski były prostopadłymi do poprzednich.

Jak należy przeplatać, najlepiej wskażą dwa rysunki podane, na str. 23-iej u góry.

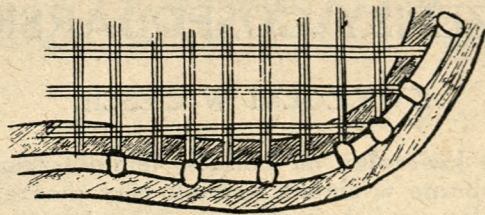
Oto mamy już całe krzesło gotowe; pozostało jeszcze obramowanie. Do tego używamy szerszej, 4-0 mm. trzciny. Paskiem tym przykrywamy wszystkie otwory w ramie krzesła naokoło. Bierzemy pasek węższy, przetykamy go od spodu na wierzch, okrąża-





my leżący szerszy pasek i zpowrotem przesuwamy go na spód, mocno dociągając. Tak postępujemy co drugi otwór, prócz narożników, gdzie, ze względu na ostrzejsze zgięcie, trzeba silniej przymocować, a więc wszystkie trzy przyległe do siebie otwory w ten sposób przetknąć.

Znacznie łatwiej jest wykonać tę robotę, jeżeli blat krzesła daje się łatwo od całości odłączyć. Czy to jest wykonalne bez pomocy stolarza, spróbować można, uderzając młotkiem od spodu ku górze, raz koło nóg



przednich, raz — tylnych. Słabo klejony blat już po kilku uderzeniach się odrywa, ale trzeba postępować ostrożnie, żeby mocniejszym uderzeniem gorszej jeszcze szkody sobie nie uczynić. Odjęty blat przymocowujemy do stołu zapomocą imadła. Po skończonej robocie usuwamy pozostały stary klej, rozpuszczamy trochę świeżego i krzesło zpowrotem doprowadzamy do poprzedniego stanu.

Na tem opis kończę, mając nadzieję, że niejedna gospodyni na tem polu sił swoich spróbuje i przekona się, jak łatwa, a dużo zadowolenia dająca, jest powyższa robota; a biedne krzesła-kaleki z graciarni, wdzięczne za poniesiony dla nich trud, służyć im będą długie jeszcze lata.

A. D.

## PREMJE DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU“ WYDAWAĆ BĘDZIEMY TYLKO DO 15 LUTEGO R. B.

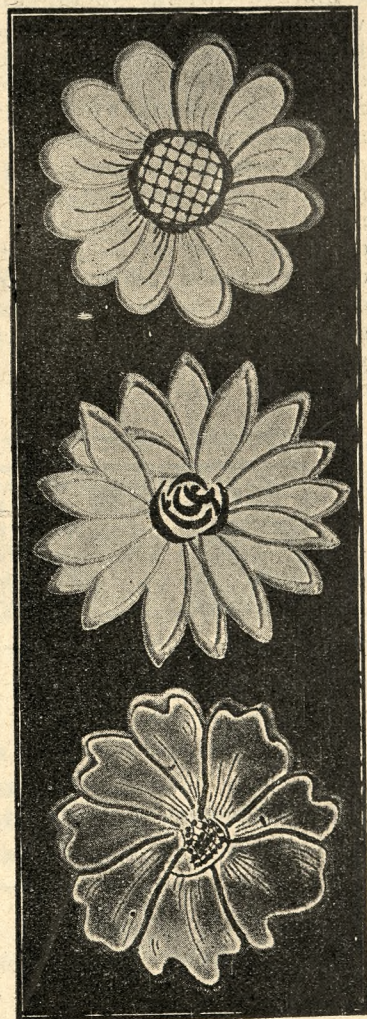
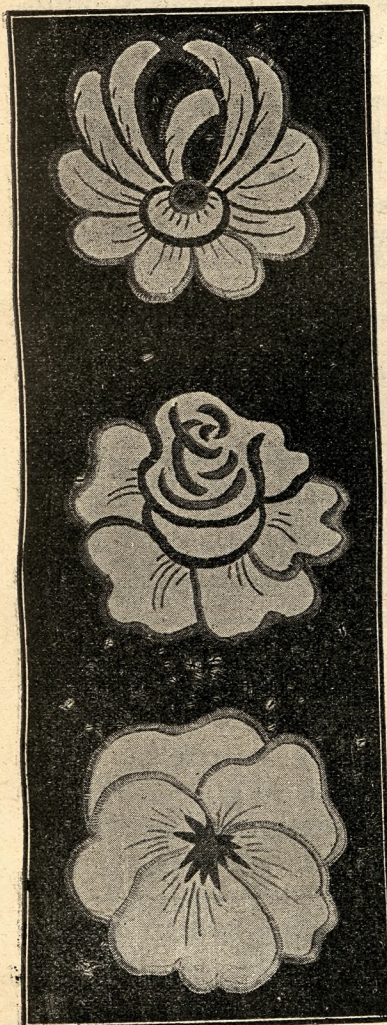
Każda z Pań, która do 15 lutego b. r. wpłaci wprost DO NASZEJ ADMINISTRACJI

PÓLROCZNĄ PRENUMERATĘ  
W SUMIE 34 ZŁ. 80 GR.

OTRZYMA BEZPŁATNIE JEDNĄ  
Z NASTĘPUJĄCYCH PREMIJ  
DO WYBORU:

1. Pudełko znakomitych mydeł toaletowych wyrobu firmy **Fryderyk Puls w Warszawie**.
2. Butelkę wody kolońskiej znanej ze swych doskonałych wyrobów firmy **Fryderyk Puls**.
3. Sześć jednakowych serwetek - kwiatów (jak podane obok), 17 × 17 cm., najmłodniejszych do ozdobnego nakrycia stołu — zaczętych, wraz ze wszystkimi dodatkami.

Oplacając półroczną prenumeratę, należy wymienić, która premia i pod jakim adresem ma być wysłana.





## PRZEPISY GOSPODARSKIE

## PĄCZKI Z JABŁEK

## KWICZOŁKI W CIEŚCIE

Małe kwiczolki, na kresach jemioluszkami zwane, są wyborne w smaku. Jednak przy pieczeniu zwykłym bardzo wysychają. Kto ma ich większą ilość, co na wsi często się zdarza, może je przyrządzić w sposób następujący. Ptaszki, oczyszczone z piórek i umyte, lecz nie paproszone wcale, soli się, zawija każdy w płatek słoniny, a na słoninę—w ciasto, przyrządzone, jak na domowy makaron (kluseczki krajane) i jak najcieniej rozwałkowane. W garnku roztopić trochę słoniny, na to szczelnie układać ptaszki w cieście. Gdy wszystkie ułożone, na wierzch położyć trochę drobno pokrajanej słoninki. Garnek przykryć pokrywą. Pokrywę oblepić chlebowym ciastem, lub okleić paskiem pergaminu. Wstawić w piec chlebowy na dwie — trzy godziny. Podawać w tym samym garnku, owiniętym ładnie serwetą.

## BLINY ROSYJSKIE

Rozczynić cztery szklanki (litr) najlepszej hreczanej mąki, czterema deka drożdży, trzema szklankami letniego mleka, wlać sześć deka topionego masła, wbić dwa żółtka, wybić jaknajmocniej drewnianą łyżką, dać podrosnąć. Gdy ciasto dobrze ruszy, wybić znów mocno, wsypać łyżeczkę soli, łyżkę cukru i sparzyć dwiema szklankami bardzo gorącego mleka, wybijając jeszcze dobrze, aż pod łyżką rosnąć zacznie. Dwa pozostałe białka ubić na sztywną pianę, wymięszać z ciastem, dać podrosnąć powtórnie. Nieduże żelazne patelecзки rozgrzać mocno, smarować każdą masłem i piec na nich cienkie bliny, biorąc ostrożnie ciasto z wierzchu, aby nie opadło. Dobrze zrumienione z obu stron składać w metalową lub porcelanową salaterkę z pokrywą. Podaje się bardzo gorące, do nich w jednej sosierce topione masło, w drugiej—dobra kwaśna śmietana. Zamiast zbyt kosztownego obecnie kawioru—dobry śledź-ulik, drobno pokrajany; siekane, ugotowane na twardo jaja; łosoś wędzony w cienkich płatkach; jakieś delikatne ryby wędzone, obrane ze skóry i ości itp.

Dwadzieścia niedużych jabłek, koniecznie kwasowych, gdyż słodkie będą twarde po usmażeniu, obrać z łupinek, wydrążyć z nich środki, napęlnić otwór marmeladą owocową, lub konfiturami bez syropu, zatkać kawałkiem jabłka, szczelnie pasującym, aby przy smażeniu syrop nie wypłynął. Sześć żółtek utrzeć z sześcioma łyżkami (strychowanemi) cukru, dodać sześć łyżek suchej, przesianej mąki; nakoniec zmieszać ostrożnie z sześcioma ubitemi na sztywną pianę białkami. Smalec rozpalić, jak na zwykłe pączki, jednak tyle go tylko być powinno, aby pączki były pokryte, a nie pływały, gdyż pójdą na dno. Na wrzący tłuszcz kłaść umaczone w cieście jabłka, przykryć pokrywą i smażyć wolno, aby jabłka w środku nie pozostały surowe. Wyciągać durszlakową łyżką na sito, pokryte bibułą. Gdy wszystkie się usmażą, obsypać obficie cukrem, utłuczonym z cynamonem lub wanilią.

Pani Elżbieta

## KORESPONDENCJE

*Panu J. S.—Kamionka.* Nie możemy zarekomendować Sz. Panu nikogo do wykonania wiadomej stary. Niech Sz. Pan napisze do szkoły miejskiej rękodzielniczej (Szczęśliwa 6 w Warszawie), adresu do kierowniczkę, pani Ściegoszowej; może podejmie się wykonania takowej. O ile przyjmie obstarunek Sz. Pana, może Pan w zupełności być spokojny o wartość i dobroć materiałów oraz o sposób wykonania roboty. Proszę powołać się na naszą Redakcję.

*Pani J. D.—Lwów.* Z przyjemnością spełnimy życzenie Sz. Pani, jednakże dopiero po ukończeniu wydawania premij.

*Pani M. R.—Koryczany.* Nie radziłabym Sz. Pani sprawić białej sukni do tak cichego ślubu. O wiele praktyczniejsza i użyteczniejsza będzie sukienka w cieniach migdałowych. Kolor doskonale pasować będzie do futerka. Skromny filcowy, dobrze przylegający do twarzy, kapelusik, pantofelki skórkowe, takiż woreczek, pończoszki—łatwo dobrać się do koloru, bogatego w odcienie. Zawiadomienia—nie zaproszenia—trzeba wysłać wszystkim jednakowe, najlepiej o już odbytym ślubie. Składanie wizyt, zależnie od upodobania, można rozpocząć w kilka tygodni po ślubie.

**WŁOSÓW**

WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJA  
ESENCJA I MYDŁO  
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).  
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE  
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:  
APTEKA A. GAŚSECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

**HEMOROIDY**

CZOPKI „VARICOL”

HEMOROIDALNE.  
USUWAJĄ BÓL, SWEDZENIE, PIĘCZENIE I KRWA-  
WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZĘ-  
DAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —  
APTEKA A. GAŚSECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.



ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-  
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu”—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.  
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW  
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak.-Przedm. 99, tel. 239.40 Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.  
Druk. Zaił Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Nymarkm 6, kas. 244-18.



# Nasza Mównica

## Lodzianka.

Należę do stałych czytelniczek „Bluszczu“ i szczerze mnie uradowały głosy pań z różnych stron kraju w trosce o dobro ogólne. Czytając te myśli, projekty,— czuło się potęgę zbiorowej, czujnej troski kobiety o sprawiedliwość.

Tak, my, kobiety, jesteście jeszcze niewyzyskaną siłą narodu! Być może, iż, parafrazując Wyspiańskiego, duch w nie jeszcze nie wstąpił i śpiące nie obudził, ale uświadomienie w tym kierunku zależy od nas.

Być czynną, żywą jednostką społeczną, ubiegać się „w wyścigu pracy“, budować — to nasza, kobiet polskich, rola.

Tyle — co do moich uczuć po przeczytaniu listów w „Mównicy“.

Chcę poruszyć dziś sprawę, bardzo mnie absorbującą, a mianowicie:

W początku listopada odbył się w Warszawie zjazd dzielnego, sympatycznego mi Związku Nauczycieli Szkół Powszechnych. Na zjeździe tym, pomiędzy innymi, uchwalono wniosek o zniesienie przymusowych praktyk religijnych w szkole.

Wniosek ten dla mnie jest wielką niekonsekwencją w życiu wogóle, a w wychowaniu—w szczególności.

Weźmy najpierw ogólnie: przymuszamy dziecko do życia, nie pytając go o to; przymuszamy do higieny, nauki, etyki; do utartych, lecz niby coraz lepszych wzorów ludzkich, i naraz w tę ogólną karność wprowadzić chcemy w dziedzinę kultury ducha i charakteru — wolność, której nasze pociechy nie przetrwałyby z korzyścią dla siebie.

Teraz—w szczególe: jak do tej pory, to praktyki religijne są podstawą i pomocą do urabiania charakteru i moralności, do odczuwania wielkości Stwórcy i oddawania hołdu wieczystemu ideałowi piękna i prawdy. Pomagają niezawodnie do wewnętrznej karności i są kulturą ducha.

Byłoby rzeczą cudowną, gdybyśmy nasze młode latorośle umieli tak chować w kulcie dla Boga, aby same z siebie, w poczuciu miłości i wdzięczności, chciały Mu duszę poświęcać. Lecz cóż mówić o matkach, kiedy nie zawsze potrafią dokazać tego katecheci?!

Tak, prawda: człowiek wszystko winien w życiu robić dobrowolnie; ale skoro jesteśmy od kolebki wciśnięci w określony rygor, skoro stwarzamy dla urabiania ludzi całe programy i nie jest przewidzia-

ne, że, jak kto się chce uczyć, to dobrze, a jeśli nie, to nie, — więc czemu w innych dziedzinach mamy próbować wolności, która napewno byłaby dla młodych anarchją?

Robi się usiłowania, aby wzbudzić zamiłowanie do pracy—czy to szkolnej, czy zawodowej, czy też do pracy nad sobą, i dopiero wtedy, kiedy owo zamiłowanie będzie powszechne, będzie można znieść wszelkie przymusy.

Ale wątpię, czy w wychowaniu młodzieży—dzieci możliwe jest zniesienie przymusów — zasadniczo. Człowiek się rodzi taki pierwotny, że przez miłość dajemy mu naszą kulturę, prowadzimy za rękę, uczymy rozumieć ofiarę, poświęcenie i największą Miłość w świecie.

Powiem szczerze: byłam oburzona, gdy dowiedziałam się, że ksiądz-katecheta postawił uczniowi klasy 7-mej zły stopień z religii, pomimo, że uczeń znał przedmiot dobrze, za to, iż nie wykonywał praktyk religijnych—i uczeń ów nie otrzymał promocji, mimo, że inne stopnie miał dobre.

Tak podcinać młodą egzystencję na progu życia—to straszna krzywda, to brak logiki, bo jeśli już taki podskubany sokolik wyrwał się nam (rodzicom i katechecie), to, przyjmując winę na siebie, nie mścimy się na nim, nie podcinamy skrzydeł!

Są rodzice, którzy na innej etyce opierają wychowanie dzieci — to trudno; starszym narzucić coś niepodobna; ale w tym wypadku trzeba zostawić decyzję rodzicom i iść z nimi na kompromis, a nie utrudniać życia dzieciom i nie zatruwać im duszy krzywdą wyrządzoną.

I to są sprawy do uzgodnienia pomiędzy katechetą, a rodzicami, gdy kierunek domowy ze szkolnym się różni.

W każdym razie, jeśli uczymy o Wszechogarniającej Miłości i Przebaczeniu, to nie można stosować systemu represji. Nie może to jednak prowadzić do zniesienia obowiązków religijnych w szkole. Wiadomo wprawdzie, że „przymuszony pacierz Panu Bogu nie miły“, ale jak inaczej nauczymy dziecko mowy ducha dla Ducha?

Może, gdybyśmy umieli idealnie poprowadzić wrażliwą i czułą młodzież przez pierwszych kilka klas, to w starszych klasach przymus byłby nierealny.

Ale to jest—gdyby...

Jestem więc ciekawa, co kobiety-matki sądzą w tej sprawie?



## **P. Pola Pawłowska z Krasnegostawu.**

Artykuł w Nr. 2 „Bluszczu“, p. t. „Zawodowe wykształcenie kobiet“, wzbudził moje zainteresowanie, więc korzystając z „Naszej Mównicy“, chcę powiedzieć o nim słów kilka. Brak szkół zawodowych dla kobiet jest największą naszą bolączką. Cały szereg dziewcząt po ukończeniu średnich zakładów naukowych nie wie wprost, co ma ze sobą zrobić. Zdają sobie tylko jasno sprawę z tego, że powinny zająć się jakąś pracą i w poszukiwaniu rodzaju zajęcia najodpowiedniejszym wydaje się im biuro.

Każda więc stara się o przyjęcie do biura, biega od jednej instytucji do drugiej, szuka pracy, bo praca jest jej niezbędną, bo chce mieć swój grosz, nie chce być ciężarem dla rodziców, a raczej pragnie ulżyć nieraz ich niedoli.

Biuro staje się wówczas dla niej czemś wymarzonem. Niestety! — wszędzie napotyka trudności, wszędzie pytana jest, czy ma już praktykę biurową, bo istotnie potrzebna jest siła, ale już wykwalifikowana. Z miną srodze strapioną idzie dalej, do następnego biura, znowu staje pokornie przed panem szefem, który, zmierzwiwszy ją od stóp do głowy wzrokiem władcy, zadaje podobne pytanie. Odpowiedź kandydatki brzmi, że przed miesiącem ukończyła średni zakład naukowy i praktyki nie ma, a koniecznie chce pracować, bo ta praca ma jej zabezpieczyć egzystencję, musi wreszcie dopomagać młodszemu rodzeństwu i t. d. i t. d. Wówczas pan szef robi wielkie ustępstwo i przyjmuje panienkę, ale tylko na praktykę; może z czasem, o ile będzie wakowała jaka posada, panienka zostanie przyjęta na stałe — oczywiście, jeżeli praktyka wypadnie pomyślnie. Biedne dziewczę stara się być punktualną i pilną, pracuje bez szemrania, aby tylko okres próby wypadł pomyślnie; wreszcie, po roku znoonej pracy, zostaje zawiadomiona, iż jest przyjęta na stałą pracowniczkę, z 80 zł. miesięcznej pensji, z czasem dostanie podwyżkę, narazie brak kredytów. Co za radość, co za szczęście, a jakie projekty snują się po głowie młodej urzędniczki! Wskutek takiego awansu dziewczę czuje się w obowiązku jeszcze bardziej przykładać do pracy, z wdzięcznością przyjmuje od p. szefa świeże obowiązki, ślęczy w lokalu biurowym po 12 godzin dziennie i drży, drży w bojaźni, czy p. szef jest z niej zadowolony.

Z czasem wszystka prawie praca przechodzi w ręce b. praktykantki; ona opanowała biuro, wie o każdym akcie, o każdym drobiazgu, stała się niezbędną; lecz o podwyższeniu poborów mowy być nie może — wszak dosyć 80 zł. dla kobiety, na co jej pieniądze? Papierosów nie pali, nie chodzi do restauracji na t. zw. „jednego przed obiadem“... więc pobierana pensja powinna jej w zupełności wystarczyć, zwłaszcza, że sukienka kosztuje o wiele taniej od męskiego garnituru. Tak zazwyczaj przywykli panowie rozumować.

Tymczasem szef jest ogromnie zajęty, często się do biura po obiedzie spóźnia, w ciągu dnia wychodzi „służbowo“ — Pani mnie zastąpi — mówi od-

chodząc, co, oczywiście, młoda urzędniczka czyni z nadzwyczajnym pietyzmem.

Po półtorarocznej pracy biurowej dziwna zmiana zaszła w dziewczęciu. Spoważniała nad wiek, schudła, straciła świeżość cery i robi wrażenie osoby, która boi się nawet własnego cienia. Zabita jest w niej indywidualność, żyje tylko biurem, mało czyta, bo brak jej czasu, wreszcie oczy bolą po całodziennym ślęczeniu nad biurkiem lub maszyną. Zamiast pogłębiać swoją wiedzę, zamiast rozwijać umysł przez czytanie świeżych wydawnictw i gazet, udaje się na spoczynek, aby rano o 8-ej być w biurze, dokąd się jej spóźnić nie wolno. W domu jest gościem — ptakiem, który wraca tylko na noc do gniazda.

Smutny to obrazek z życia pracownic biurowych! Mężczyźni, często niżej stojący pod względem intelektualnym od swych podwładnych pracowniczek, będą awansowali z roku na rok; kobieta, gdy się już doczeka X stopnia, niech będzie spokojna, że nie zaawansuje i całe życie będzie tylko kancelistką. Zdolności jej i inteligencja będą należycie wyzyskane, ale nie ocenione.

Nawiązując do powyższego, jako stara pracowniczka biurowa, apeluję do wszystkich kobiet, aby biura nie uważały za swój fach — wszak jest tyle innych placówek, nie objętych przez nas! Szukajmy nowych dróg, nowego pola działania, gdzie zostanie należycie ocenione, zrozumiane i niezbędne, a co najważniejsze, nie zatracimy swego „ja“, nie będziemy zahukanemi kopcuszkami biurowemi.

Domagajmy się więc zakładów zawodowych, kształćmy nasze córki w obranym fachu, a nie upatrujmy dla nich kariery w biurze. Wszak ogrodnictwo, koszykarstwo, trykotarstwo, wreszcie kursy higienistek, akuszerek, szkoły freblowskie e. t. c. — to są placówki pracy dla kobiet. Tam idźmy, a staniemy się pożyteczne krajowi, będziemy nieść pomoc nędzarzom, praca taka da nam zadowolenie i uczyni nas niezależnymi od fantazji i humoru panów szefów.

## **P. Józefa Gawrońska—Toruń. W odpowiedzi p. W. Tropaczyńskiej z Mogilnicy.**

Dola kobiety samotnej... Niech te trzy wyrazy zastanowią każdego. Niech zapukają do serc. Cóż może być smutniejszego nad tę dolę? Masy tych kobiet doszły już dawno do poznania swego położenia i do nich słowa te posyłam.

Walka kobiety samotnej z dniem powszednim przybiera rozmaite kształty, jak rozmaite są siły i wytrzymałość ludzka, lecz walka to zatrwajająco nierówna. Zrozumieć i odczuć, w danym razie odpowiednio przeciwdziałać przeciwnościom swego życia — kobieta jedynie potrafi.

Łączmy się więc!

Siła każdego społeczeństwa leży w zrzeszaniu się, a tembardziej siła społeczeństwa kobiecego. Ewolucja obecnych społeczeństw zmusza kobiety do rozmaitych zgrupowań. Polska rośnie, ludność powiększa się, potrzeby dnia codziennego stają się coraz



wyższe — tylko dola kobiety samotnej nie uległa żadnej zmianie.

Zrzeszajmy się więc! Zorganizujmy składki, twórzmy instytucje ubezpieczenia kobiet samotnych od nieszczęśliwych wypadków, choroby, trwałej niezdolności do pracy, oraz na starość.

Instytucję taką oprzeć trzeba na możliwie szerokich podstawach. Trzeba również zyskać dla niej zasilek państwowy. Dobrzeby było dostać fundusz ze skarbcza publicznego sposobem pożyczki na lat 25, np.; postawić wielki, wspólny „Dom Kobiet samotnych“, gdzieby mogły pracować i miały dach nad głową.

Sprawa ubezpieczenia kobiet samotnych jest kwestją społeczną, a jeżeli nie ocenia się jej z należytą obiektywnością, to przyczyna leży w nas samych.

Łączmy się i zbierajmy fundusze. Z drobnych sum wyrastają często wielkie i trwałe przedsięwzięcia.

Na zakończenie muszę zaznaczyć wysoce obywatelski czyn, który u nas zapoczątkował już sprawę.

Prezydent miasta Torunia p. Bolt ofiarowuje na cel budowy „Domu Kobiet samotnych“ plac, instalację światła w projektowanym gmachu, oraz kanalizację.

### **Pani J. Ł. — Królewska Huta.**

Po przeczytaniu listu „Lwowianki“ pragnę, jako również mieszkająca w Król.-Hucie, słów kilka w poruszonej przez nią kwestji napisać. Uprawnia mnie do tego fakt, że już od lat czterech pracując tu społecznie, stykam się z różnymi warstwami tutejszej ludności.

Najważniejszym rzeczywiście zagadnieniem na Śląsku jest sprawa jego kultury polskiej — krzewienie jej jest obowiązkiem inteligencji napływowej, gdyż miejscowa w 95% — to Niemcy. Nielicznych też tylko przybyszów ściągnęły tu korzyści i widoki materialne: lwia część przybyła, ożywiona gorącą ideą, i tej idei polskości służy często ponad siły. Niestety — z nielicznymi wyjątkami — praca ta nie spotyka się z wdzięcznością, na którąby zasługiwała. Tej cechy trudno się doszukać w ludzie śląskim, przez długie wieki materializowanym przez wpływy niemieckie, a ostatnio rozbałamuconym obustronną licytacją obietnic plebiscytowych. I dlatego, mimo, iż dla żadnej dzielnicy Polski — nie wyłączając Kresów Wschodnich — nie zrobiono tyle, co dla Śląska, nie widzi się tu zadowolenia i uznania.

Cała bardzo kosztowna i wydatna działalność Województwa, Magistratów, Komitetów Inteligencji i osób prywatnych, skierowana do ulżenia doli czy to bezrobotnych, których, w stosunku do uprzemysłowienia dzielnicy, jest mniej, niż w innych miejscowościach, czy też biednych — wszelka pomoc jest przyjmowana nie tylko jak coś zupełnie normalnego, ale nawet z pewnym uczuciem niezadowolenia: tylko tyle?! — I tak, jak psychoza wojenna ludności b. Kongresówki każe tęsknić za „tatą“, tak tu długo jeszcze to, co w „Bytoniu“ — będzie ideałem.

Cała nadzieja, że właśnie ci przybysze, ci „gorole“ i „dziady“, te nasze Lwowianki i inni i inne gorącego serca, których imię legjon — wychowają idące w życie pokolenia ludu śląskiego w innym duchu — w duchu poświęcenia i miłości dla całej naszej Ojczyzny; że dzięki nim zatrze się dzielnicowość, że nauczą oni młode pokolenia cenić nie tylko doraźne korzyści należenia do Polski, ale i wyrozumiałości dla często syzyfowej pracy rządu i społeczeństwa.

Trzeba wierzyć, że tutejszy mieszkaniec, za lat kilkanaście zapytany, kim jest, odpowie: — polakiem, a nie, jak dotąd: — ślązakiem. W tym kierunku wiedzie właśnie praca przybyszów i tu może trzeba szukać częściowo przyczyn niechęci do nich; boć wobec szczególnych względów, którymi otacza się Śląsk, wygodnie jest być właśnie „ślązakiem“. Miejmy nadzieję, że, gdy zniknie potrzeba specjalnej „śląskiej“ polityki, gdy ręka rządu usunie niemieckie kleszcze ze Śląska, który stanie się normalną dzielnicą naszej Ojczyzny — ten anachronizm zniknie.

Dwie, niestety, przyczyny przeszkadzają w tej zbożnej pracy: zażydzenie i partyjność, a zatem to, z czym tylko samo społeczeństwo walczyć może i musi, nie oglądając się na pomoc władz, które nic tu pomóc nie mogą.

W ciągu ostatnich trzech lat 3/4 sklepów w najbogatszej dzielnicy Król.-Huty przeszło w ręce żydowskie. Sklep w ręku żyda, który chętniej mówi żargonową niemczyzną — to poważna przeszkoda w akcji polonizatorskiej na Śląsku. Winę ponoszą bezwzględnie poważniejsze firmy warszawskie, które nie pomyślały o tem, że, otwierając tu swe oddziały, nie tylko zdadzą egzamin obywatelskości, ale i pójdą na rękę swym interesom. Jeszcze czas do naprawienia złego choć w części; inaczej w niedługim czasie Król.-Huta i Katowice staną się w dziedzinie handlu Będzinem, czy Chrzanowem.

Druga bolączka — partyjność — szerzy się, niestety, w organizacjach kobiecych, a przejawia się czasem w bardzo nieprzyzwoity sposób. Ostatnio np., w czasie pochodu ku uczczeniu 10-lecia Niepodległości Polski, dwie organizacje kobiece (lewicowa i prawicowa) nie chciały iść razem, kłócąc się zawzięcie. Słyszące te „przekomarzania“, proste ślązaczki, a niewątpliwie dobre polki, nie były napewno tem zbudowane. A jak inaczej pracują Niemki! u nich tem zbudowane. A jak inaczej pracują Niemki! u nich niema partyj, ani obozów, jest tylko jeden ideał: „los von Polen!“ jedna świętość: „Deutschland über alles!“ Obyśmy się tej jedności nauczyły od nich jaknajprędzej i oby jaknajprędzej historyczne nazwy Śląska, Małopolski, Kongresówki i t. p. pozostały tylko w historii i geografji — ustępując w życiu miejsca jednej duchem i ideałem — Polsce!

### **P. Jadwiga Kobyłańska — Pątnówek. Odpowiedź p. E. M. z Wilna.**

Bolesną kwestję pani poruszyła; kwestję żywną, która oddźwięk znaleźć musi w tysiącach serc. Czy kobieta ma całkowicie zagubić się w codzien-



nych, życiowych drobiazgach? Chyba nie, — bo te drobiazgi bardzo wyczerpują siły fizyczne, stępują umysł i przemieniają kobietę w wołu, ciągnącego jarzmo, lub w konia, kręcącego się w kieracie. Po prostu taka praca wyczerpuje i ogłupia.

Kobieta musi mieć czas na czytanie, na dalsze kształcenie się, choćby na wniknięcie w siebie. Kobieta jest tą, która wychowuje pokolenia, więc nie może być w tyle poza innymi: musi ciągle iść naprzód i przyświecać swym umysłem. Zresztą dzisiejsze dzieci nie liczą się z zacofaną matką, Więc w interesie rodziny jest mieć inteligentną matkę, któraby miała czas na kształcenie swego umysłu. Dlaczego mamy tak mało czasu dla siebie?

Dlatego, że nie wymagamy od męża i naszych dzieci, by każde z nich pamiętało o swej garderobie, żeby każde położyło rzecz na swoim miejscu,—żeby ta matka nie potrzebowała za każdym z domowników sprzątać.

Musimy również zwrócić uwagę na wychowanie synów. Źle wychowujemy chłopców! Nie zaprawiamy ich do pracy, do porządku, do delikatnego obchodzenia się z siostrami i ze służbą. Wychowujemy przyszłego despotę, tyrana i egoistę. Czyż kobieta nigdy nie wyrwie się z tej supremacji męczyzny? Czyż musi czuć nad sobą przewagę ojca — męża — syna?...

Czy dlatego, że jest słabsza fizycznie—a ileż razy wyższa intelektualnie—musi ulegać?! Jesteśmy jeszcze ciągle w stanie niewolnictwa i, o ile same się nie wyrwiemy, to nam nikt nie pomoże. Wychowujemy naszych synów tak, jak córki. Matki zawsze są słabsze dla synów, jest to atawizm z czasów jaskiniowych. Syn, jest to zawsze męczyzna, który ma prawo przewodzić!

Wychowujmy inaczej naszych synów, a dola nasza jaśniejszą się stanie.

### **Hanka z Małopolski—w odpowiedzi Pani Helenie B. z Grudziądza.**

Jako stała czytelniczka „Bluszczu“, z całym zainteresowaniem czytam naszą „Mównicę“ i ani na myśl mi nie przyszło imać się pióra, by zabrać też głos narówni z temi, które tak pięknie potrafią wypowiadać swoje myśli. Jednakże zadziwiło mię to, że sprawę, którą poruszyła p. Helena B. z Grudziądza, tak lekko potraktowano, uznając wprawdzie za praktyczną, ale przechodząc nad nią do porządku; a przecież, zdaje mi się, że jeżeli wołamy o to, by kobieta była samodzielną, to musimy przede wszystkim pamiętać, iż pierwszą oznaką uniezależnienia się kobiety jest właśnie umiejętność zarządzania sprawami majątkowymi i pieniężnymi. Tymczasem na tem polu prawie wszystkie kobiety są niezaradne i stają się często ofiarami własnej niezaradności, albo wyzysku przygodnego doradcy, czy też niezbyt uczciwego opiekuna. Pani B. daje myśl, aby utworzyć poradnie przy bankach, lub też stworzyć odpowiednie kur-

sy. Każdy bank, gdyby nawet stworzył takie poradnie, niezawsze, jako sam zajęty sprawami pieniężnymi, byłby bezstronnym doradcą. Kursy byłyby dobre, ale najpierw z kursów tych mogłyby korzystać jedynie kobiety zamieszkałe w większych miastach, a następnie zorganizowanie takiego kursu wymaga wiele starań i napotyka wiele trudności. Aby więc sprawa, tak ważna dla kobiet, nie skończyła się na przysłowiowym „bab- skiem gadaniu“, sędzę, że najlepiej będzie, aby redakcje, czy to „Bluszczu“, czy innych pism kobiecych, wprowadziły osobny dział, rodzaj kursu. Z tego kursu korzystałoby wiele kobiet.

W Warszawie łatwo znaleźć siły fachowe, któreby takie kursy mogły prowadzić, stosując je w formie przystępnej dla szerokiego grona czytelniczek.

### **P. Wanda T. z Warki.**

Od paru lat prowadzę gospodarstwo wiejskie; między innymi hoduję także i owce, ale nie wiem, co mam robić z wełną. Może która z Szanownych Czytelniczek „Bluszczu“ wie o jakiej fabryce, lub wogóle o jakimś źródle, dokąd można odstawić wełnę

Jeżeliby która z Pań zechciała łaskawie mi odpi- sać, to jednocześnie proszę o zaznaczenie, jaka ma być wełna: czy prana i gręplowana, czy prosto z owcy?

### **P. Władysława S. — Kalisz.**

W ostatnich czasach pisze się i mówi dużo o nau- kowej organizacji pracy we wszystkich dziedzinach, nie wyłączając gospodarstwa domowego. Podług mnie, sprawa ta jest nadzwyczaj ważna, ale i dla wielu z nas trudna do rozstrzygnięcia. Do każdego takiego zorganizowania pracy, podług teoryj naukowych, trzeba przede wszystkim mieć doskonale dopasowany warsztat, miejsce pracy, jak w tym wypadku—dom. A tymczasem brak i ciasnota mieszkań, ograniczone środki, czyż pozwolą przeciętnym ludziom w Polsce marzyć nawet o takim domu taylorzowanym, o jakim np. czytałam niedawno w „Kobiecie w Świecie i w Domu“? Ja sama kilkakrotnie próbowałam iść za wskazówkami, wielokrotnie czytaniem: studjowałam różne nowoczesne meble i narzędzia gospodarskie — wszystko to jednak jest jeszcze tak mało dostępne dla niezamożnych osób!

A bez tych ulepszeń niesposób ułożyć sobie pracy tak, aby nie była ona istotnymi ciężkimi ro- botami, nie zajmowała całego czasu i nie wyczerpy- wała całych sił. Byłoby niezmiernie dobrze, aby te panie, które doszły już do jakichś dodatnich rezulta- tów na tej drodze, zechciały się wypowiedzieć. Dać nam wskazówki, jak ułożyły sobie czas i porządek zajęć, jakie mogły wprowadzić uproszczenia i ulepsze- nia w domowym gospodarstwie. Przecież to jedyna dla tysięcy kobiet droga do lżejszego, ludzkiego życia!